MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 8. WARSZAWA, 23 LUTEGO 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

CO TO JEST „L'ACTION FRANÇAISE"?

POTURBOWANIE przywódcy socjalistów francuskich p. Leona Bluma wywołało rozwiązanie wszystkich organizacyj łączących zwolenników *„L'Action Française"*. Opinja wszystkich krajów europejskich zainteresowała się żywo tym kierunkiem. Nietyle zapewne z powodu, że prasa socjalistyczna i żydowska szeroko komentowała incydent, lecz dlatego także, iż przed wykryciem sprawców represje rządu skierowały się odrazu przeciw *„L'Action Française"*, co świadczy, że koła rządzące dziś we Francji (masonerja) ten właśnie kierunek uważają dla siebie za najbardziej niebezpieczny. I nie mylą się te koła — kto zna stosunki francuskie ten wie, że jedynie ruch, którego wyrazem jest dziennik *„L'Action Française"* jest dla obecnego systemu politycznego we Francji niebezpieczeństwem.

Bo *„L'Action Française"* — to zorganizowany nacjonalizm francuski. Są we Francji inne kierunki i grupy narodowe, lecz nie posiadają one doktryny, nie posiadają sprężystej organizacji, nie mają ludzi na wyższą miarę. Zachodzi tu ta sama różnica, co w Polsce między Obozem Narodowym (wyszłym z Demokracji Narodowej), a różnemi patrjotycznemi grupami i kierunkami. Nie pokrywa się bowiem w dzisiejszej Europie pojęcie n a c j o n a l i z m u z pojęciem p a t r j o t y z m u. Nacjonaliści są oczywiście patrjotami, lecz pojęciu patrjotyzmu nadają treść głębszą i ściślejszą.

*

Ruch nacjonalistyczny francuski zaczął się organizować w okresie sprawy Dreyfusa, a więc około r. 1897. Sprawa ta poruszyła opinję publiczną Francji, stała się podstawą przeobrażeń, które głośny teoretyk komunizmu Georges Sorel nazwał prawdziwą rewolucją. Istotnie, ze sprawy Dreyfusa skorzystała masonerja, by ostatecznie i całkowicie opanować aparat rządowy Francji, przez zadanie ciosu armji, która jest zawsze najsilniejszą ostoją narodowego porządku w państwie. Sprawa Dreyfusa jest momentem przełomowym w dziejach Trzeciej Republiki. Kończy ona okres rządów republikanów umiarkowanych (właściwie konserwatywnych) i rozpoczyna okres rządów żywiołów radykalnych (czytaj: masońskich). Do głosu dochodzą ci, co otwarcie dążą do usunięcia Kościoła Katolickiego z życia Francji, ustalenia poglądów pacyfistycznych i poniżenia armji, do ujęcia całego aparatu państwowego w ręce lóż.

Zapowiadający się wówczas przełom w pojęciach i ustroju wywołał reakcję. W kołach republikańskich i postępowych znaleźli się ludzie, którzy pod wrażeniem sprawy Dreyfusa zaczęli spoglądać krytycznie na swą dotychczasową wiarę. Wśród nich największą rolę w powstaniu nowego ruchu narodowego odegrali: Henri Vaugeois i Lucien Moreau, obydwaj już dziś nieżyjący. Zeszli się oni z młodym wówczas, lecz już świetnym pisarzem, broniącym idei monarchizmu — Karolem Maurrasem i dali początek prądowi, który dziś działa pod wezwaniem *„L'Action Française"* — Czyn francuski.

Karol Maurras jest właściwym inicjatorem i po dzień dzisiejszy przywódcą ruchu. Odegrał on we Francji tę samą rolę, co w Polsce J. L. Popławski, a we Włoszech Enrico Corradini. Od tych trzech ludzi poszły w Europie prądy w istocie swej podobne, lecz przystosowane do wa-

runków poszczególnych krajów, prądy w każdym razie, które mogły powstać tylko na podłożu dobrze przetrawonej kultury łacińskiej, wywodzącej się z Rzymu starożytnego.

Karol Maurras jest twórcą doktryny nacjonalistycznej francuskiej. Rozgłos jego datuje się od ogłoszenia (1900) podstawowej książki rojalizmu francuskiego *„L'Enquête sur la Monarchie"*. Poeta, myśliciel, znawca przeszłości, polityk, publicysta, krytyk literacki, posiada Maurras jeden z najlepiej funkcjonujących mózgów współczesnych, wywiera też ogromny wpływ nietylko na swoje najbliższe otoczenie, lecz na całą opinję francuską. Zwłaszcza od czasu założenia dziennika *„L'Action Française"* (1908), koło którego skupił się szereg świetnych piór, takich jak Leon Daudet, Jacques Bainville, Maurice Pujo i cały szereg innych. O wszechstronności umysłu Maurrasa można nabrać pojęcia, czytając pięciotomowy *„Dictionnaire politique et critique"*, ułożony na podstawie jego pism, a będący nową Encyklopedją nowych czasów.

*

Nacjonalizm francuski posiada w swym programie przywrócenie monarchji. Pracuje też w ścisłem porozumieniu z pretendentem do tronu ks. de Guise. Nie jest to monarchizm doktrynerski. Maurras wykładał wielokrotnie swoje poglądy na tę sprawę. Nie sądzi on, że monarchja jak zawsze i wszędzie najlepszą formą rządu. Obstaje tylko przy tem, że rządy muszą być dziedziczne. We Francji zaś, zgodnie z warunkami, przeszłością i charakterem narodu uważa za możliwą jedną tylko formę rządów dziedzicznych — monarchję. Dlatego to twierdzi Maurras, że pierwszym warunkiem powstania we Francji rządu narodowego jest przywrócenie korony potomstwu rodziny, która w ciągu tysiąca lat stworzyła Francję.

Dzieje francuskie ostatnich lat stu zdają się potwierdzać poglądy Maurrasa. Republika we Francji była zawsze ustrojem, sprzyjającym ustaleniu się rządów masonerji i zagranicy. Kto się przygląda polityce i życiu Trzeciej Republiki, ten musi dojrzeć jej ścisły związek z rządami wolnomularstwa. To też wolnomularstwo uważa utrzymanie ustroju republikańskiego za warunek utrzymania się przy władzy, a z drugiej strony bez masonerji niepodobna sobie wyobrazić utrzymania się ustroju republikańskiego. Ponieważ istotą walki politycznej we Francji jest to, czy będzie ona nadal rządzona przez loże, więc niepodobna odmówić Maurrasowi i jego zwolennikom realizmu politycznego. Mają oni bardzo mocne argumenty na to, że niepodobna uwolnić Francji od rządów wolnomularstwa i od wtrącania się w jej sprawy zagranicy, bez zmiany formy rządu. Jak widzimy, usiłuje ruch monarchistyczny francuski, przystosować się do nowoczesnych warunków i nowoczesnego sposobu myślenia.

*

Jakie szanse powodzenia ma *„L'Action Française"* w chwili obecnej? W polityce bieżącej stoi ona niejako poza nawiasem — nie bierze udziału w wyborach, nie posiada swych przedstawicieli w parlamencie. Ma natomiast duży wpływ w kraju, w jej pismach powiada się, że będąc nieobecna na terenie „kraju legalnego", stoi mocno w „kraju realnym".

Niema dość pewnych podstaw do oceny siły organizacji i wpływów nacjonalizmu we Francji. Można natomiast wskazać na te czynniki, które sprzyjają temu ruchowi i które dają mu siłę polityczną.

Na pierwszem miejscu postawić należy fakt, że w Europie dzisiejszej dochodzą wszędzie do władzy kierunki nacjonalistyczne. I to nie na drodze parlamentarnej, lecz przez „akcję bezpośrednią", to, co we Francji nazywają *„action directe"*. *„L'Action Française"*, będąca centralną organizacją nacjonalizmu francuskiego, jest więc ruchem nawskroś współczesnym, korzysta z pomocy całej tej unoszącej się w powietrzu mistyki narodowej, która zawisła nad Europą. Parlamentaryzm nie cieszy się we Francji wielką powagą. Niemasz już tam wiary w ustrój parlamentarny, podobnie jak w integralną demokrację i w mit republikański. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że czynniki, kierujące polityką lóż, hołdują w dużym stopniu idei dyktatury lewicowej. Wszak wypadki 6 lutego r. 1934 były próbą dojścia do takiej dyktatury. Pp. Daladier i Frot nie ukrywali swych w tym kierunku zamiarów. Antyparlamentaryzm i antydemokratyzm nacjonalistów z obozu Karola Maurrasa może raczej pociągnąć za sobą masy niż je odtrącić.

„L'Action Française" posiada pozatem te wszystkie właściwości, jakie w ostatnich czasach pozwoliły grupom niezadowolonym z dawnego porządku dojść do władzy w państwie posiadanie wyraźnej doktryny, ścisłego planu politycznego, zastępu zdecydowanych na wszystko zwolenników i poparcie młodego pokolenia. Kto pamięta, że w Rosji, we Włoszech, w Niemczech, w Portugalji nowy porządek rzeczy został wprowadzony przez będące w znacznej mniejszości, lecz zwarte i posiadające wyraźne oblicze grupy rewolucyjne, ten nie będzie uważał za rzecz niemożliwą podobnego rozwoju wydarzeń we Francji, która ma przecież stare tradycje przewrotów rewolucyjnych. W innej atmosferze duchowej odbywały się one na lewo; przy zmienionej atmosferze mogą się dokonywać na prawo.

Karol Maurras i jego zwolennicy mają poza sobą zgórą trzydzieści lat pracy. Narzędziem ich polityki była z jednej strony jasna myśl polityczna i wszystko to, co służyło propagandzie tej myśli, z drugiej oddziaływanie bezpośrednie na wypadki przez organizowanie reakcji społecznej,

nie cofając się przed najdrastyczniejszemi sposobami... Od kilku lat w szerokich kołach społeczeństwa francuskiego zarysowują się sympatje dla ideologji i polityki nacjonalistycznej. Nawet wybitni politycy republikańscy zwracają się z zainteresowaniem ku temu kierunkowi, przykładem niech będzie ewolucja polityczna p. Andrè Tardieu, który dziś jest bardzo bliski nacjonalizmu.

Są tedy objektywne warunki do „rewolucji narodowej" we Francji, anologicznej do tych przewrotów, jakie się dokonały w ostatnich latach w innych krajach Europy zachodniej. Gdyby zaś taka rewolucja miała nastąpić, to jest tylko jedna jedyna siła, która może do niej doprowadzić— „*L'Action Française*"...

STANISŁAW KOZICKI

UWAGI DO „WIEJSKICH PROBLEMÓW"

II

WDAJĘ się z autorem „wiejskich problemów" w spór co do tego, czy etnos należy do narodu. Autor nie podaje wyraźnej definicji tego pojęcia, ale treść i zakres jego są jasne: „nie poto jesteśmy narodem historycznym"— mówi — „by świadomie redukować się do chłopskiej masy i świeżej ludowej inteligencji". A więc naród historyczny — to warstwa historyczna, czyli znowu „pańska krew" — nadto miejska inteligencja (zapewne *gentry*), skoro świeża ludowa, jak Juljan Fałat, Jan Kasprowicz i inni mieliby pozostać poza narodem. Czem wytłumaczyć taki pogląd, tak sprzeczny z oczywistą współczesną rzeczywistością?

Operując pojęciem narodu historycznego, autor niewątpliwie kieruje się jakimś sprawdzianem, jak domyślać się należy, świadomością przeżyć historycznych, tradycją polityczną, której chłop nie ma. Gdyby tak, to nie można odmówić autorowi słuszności. Tak jest istotnie. Tradycja polityczna jest naogół związana z aktywnym udziałem w sprawach państwowych, a z niemi chłop nasz nie stykał się bezpośrednio w przeszłości przez wieki, gdyż odgradzało go od nich państwo dworskie. Chłop był poddanym państwa suskiego, czy żywieckiego, państwa Firlejów, czy Spytków, a nie Rzeczypospolitej, o której mało co wiedział i niewiele słyszał. I nic dziwnego. Każde *dominium* było to oddzielne państwo z pełnią władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowej, skupionej w rękach pana — monarchy absolutnego, z wyłączeniem jakiejkolwiek inegerencji Rzeczypospolitej. Te państwa dworskie, *dominia*, były to wsie pojedyncze, lub całe klucze, o granicach szczelnie zamkniętych, tak że „zagranica" mieściła się niedaleko, bo zaraz za kopcami granicznemi wsi, ale za nią wydostanie się było wręcz niepodobieństwem, czego surowo przestrzegali panowie, ponieważ tym sposobem uniemożliwiali chłopu wspólną organizację (Rafacz). Tak więc chłop miał przed sobą państwo dworskie (*dominium*), a nie państwo polskie (*imperium*), rodził się, żył i umierał pod władzą pana, a nie króla, miał przez całe swe życie do czynienia tylko z panem i pańszczyzną, dlatego po dziś dzień, na co mało kto może zwrócił uwagę, chłop nie pojmuje właściwej istoty państwa, które słuchowo przypomina mu pana, państwo dworskie, pańszczyznę, stąd pan i państwo zlewa się u niego w jedno pojęcie; synonimem państwa jest dla niego rząd (*imperium*) i skarb (*fiscus*).

W takim stanie rzeczy i w tem znaczeniu nie możnaby chłopa zaliczyć do narodu, gdyż jego przeżycia historyczne, jego tradycja dziejowa, zgoła odmiennej natury, zamykały się w szczupłych granicach dominjalnych. Pełną tradycję historyczną, polityczną reprezentuje bezspornie tylko ziemiaństwo i słusznie uchodzić ono może za warstwę historyczną, za naród historyczny w tem znaczeniu, że kiedyś w historji polskiej ono wyłącznie było jej podmiotem.

Jednak świadomość przeżyć historycznych, tradycja polityczna, nie jest wyłączną cechą pojęcia narodu. Aczkolwiek definicji tego pojęcia, poza konstrukcjami opisowemi, prawie że nie mamy, a prawna, traktująca naród jako ogół obywateli państwa, politycznie jest nieużyteczna, to w każdym razie jako zasadnicze cechy ustalono: krew (rasa), język, ziemia, religja, historja, prawo, obyczaje, poczucie jedności. Niektóre z nich mają charakter względny, inne są rozstrzygające, jak poczucie jedności. Dlatego nie można przyjmować określonych cech, jako ilość zamkniętej, dla wszystkich narodów, są narody oparte tylko na poczuciu jedności, inne poszczycić się mogą nadto wspólnotą krwi, jednym językiem. Do takich należy naród polski.

Państwo polskie powstało przez podbój wewnętrzny (Balzer) wśród plemion polskich. Tylko Polska dzięki swemu położeniu geograficznemu zachowała rasowo najczystszy typ słowiański, wolny od silnych domieszek obcej krwi, na co narazili się jej słowiańscy sąsiedzi. Z wolnej ludności kmiecej wyodrębniło się rycerstwo w epoce piastowskiej; to dwuwarstwowe społeczeństwo posługiwało się tym samym językiem, mieszkało obok siebie na tej samej ziemi, wyznawało tę samą religję, złączone było niewątpliwie poczuciem jedności. Taki stan trwał przecież dobre kilkaset lat, zanim kmiecie zostali *glebae adseripti*. To naród.

Uzbrojone rycerstwo wypaczyło taki ustrój społeczny, ustaliło nowy ustrój polityczny, w którym nie starczyło miejsca dla stanu włościańskiego, tak że ten znalazł się poza tą sferą życia narodowego; stan szlachecki wypełnił swą treścią całą szerokość życia publicznego, stąd ustalił się pogląd, że naród polski — to szlachta. Ale taki pogląd jest uzasadniony o tyle tylko, o ileby można przyjąć, że dana warstwa jest częścią narodu pod warunkiem udziału jej w życiu publicznem. Gdyby nawet stanąć na tem stanowisku, to i tak należałoby wykazać, że warstwa włościańska ze swych praw politycznych nie skorzystała z braku zainteresowania, jak to uczyniła warstwa mieszczańska. Tymczasem nasi oracze i siewcy, rozproszeni na olbrzymich przestrzeniach, bez oporu musieli się ugiąć przed uzbrojonem rycerstwem, które ich poddało prawu miecza nawet w sferze życia prywatnego. Szlachta stała się narodem w znaczeniu pra-

wno-politycznem w drodze gwałtu, jej idea narodowa wyraziła się w myśli politycznej szlachecko-magnackiej, związanej jaknajściślej z władzą i przywilejem. Nie trzeba wcale przenosić naszej konstrukcji pojęcia narodu w owe czasy, aby uznać, że stan szlachecki był narodem niekompletnym, anormalnym, w oparciu tylko o podstawę prawno-polityczną, skoro poza tą sferą życia narodowego żył naród chłopski, złączony z warstwą panującą wspólnością krwi, języka, religji i poczuciem jedności, świadomością wspólnoty. Takie poczucie wspólności z warstwą włościańską daje się zauważyć i w szlachcie, w jej przedstawicielach najszlachetniejszych, począwszy od wieku 16 (Andrzej Frycz-Modrzewski), znajduje silniejszy swój wyraz w przygotowanej kompanją publicystyczną (Staszic) konstytucji 3 maja, która uznaje w niej „najliczniejszą w narodzie ludność", aż wreszcie Kościuszko wręcz powołał chłopa do obrony ojczyzny, przywdziewając jego sukmanę, jako wyraz jedności. I chłop spełnił wtedy swój obowiązek wobec wspólnoty bez żadnej zapłaty. Czy to nie takiż naród?

Ale tak było. Tymczasem obecnie, w zminionych dogruntu stosunkach społecznych i politycznych, w Rzeczypospolitej Polskiej, nie może już ulegać żadnej kwestji, że warstwa włościańska jest i to przeważającą częścią narodu. Bierna dotychczas ta warstwa wydobywa się na scenę polityczną z zamiarem odegrania roli dziejowej. Staje się aktywną politycznie, społecznie, gospodarczo, zwraca na siebię uwagę swym ogromem liczebnym, swym udziałem w utrzymaniu i w obronie państwa. Ideję narodową szlachecko magnacką zastępuje nowemi wartościami, całą przeszłość dziejową wraz z jej wielkiemi zadaniami przejmuje na swą własność, staje się spadkobiercą i dziedzicem konieczności dziejowych, wchłania w siebie wczorajszy naród prawno-polityczny, aby po przerobieniu go i przystosowaniu do nowych zadań, wystąpić w roli nowej warstwy ziemiańskiej do dalszego pochodu dziejowego.

Skoro mowa o wystąpieniu warstwy włościańskiej na arenę polityczną, to nasuwa się pytanie, z czem występuje, dokąd zmierza, słowem — jaka jest jej idea?

Doświadczenie wskazuje, że wzrok tej warstwy skierowany jest głównie na stosunki wewnętrzne, których układ jest niezadowalający: miasta nasze są zażydzone, wieś cechuje silne przeludnienie. Skutkiem tej wadliwej struktry socjalnej nadmiar ludności wiejskiej szuka dla siebie wyjścia w dwu kierunkach: przedewszystkiem zawładnięcia ziemią, następnie zdobycia zarobków. Głód ziemi, płynący również z serdecznego jej umiłowania, zwraca chłopa frontem przeciwko folwarkom, źródła zarobków pchają go do miast. Proces powracania ziemi do rąk kmieci odbywa się nie od dziś i temu procesowi nie należy przeszkadzać, mając na uwadze, że *latifundia Italiam perdidere.*

W miastach źródła zarobków, głównie w fabrykach, są ograniczone, jeśli się nawet nie kurczą i jeżeli wierzyć przewidywaniom, że Polska pozostanie krajem rolniczym,—więc te źródła muszą być rozszerzone na handel. Wtedy chłop zetknie się oko w oko z żydem. I w tej walce należy mu udzielić wydatnej pomocy.

Takie są drogi ekspansji wewnętrznej warstwy włościańskiej, taka jest idea chłopa polskiego; tkwi ona głęboko w jego psychice wiejskiej i szuka gwałtownie swego wyrazu w dziedzinie materjalnej.

Współczesny nasz ruch chłopski wyrasta więc z podłoża socjalnego. Jest rzeczą zrozumiałą, że chłop nie ma planu politycznego, kieruje się tylko prostym instynktem samozachowawczym i zwykłą koniecznością biologiczną. Tak zresztą, jak każda inna warstwa społeczna. Ta idea chłopska, choć wyrasta z podłoża materjalnego, sama jednak w swej istocie jest jaknajbardziej narodową, nie ma najmniejszych cech walki klasowej. Zanikanie gospodarstwa folwarcznego uznane jest za proces naturalny (Bujak), byłoby prawdziwą katastrofą narodową, gdybyśmy puste obszary musieli kolonizować żywiołem obcym, jak to się dzieje np. we Francji. Parcie chłopa w kierunku miast prowadzi do ich spolszczenia i wytworzenia w wyniku mieszczaństwa polskiego, co może zapewnić równowagę społeczną, tak bardzo pożądaną ze stanowiska narodowego. Stąd twierdzenie, że chłop przekształca ideję szlachecko-magnacką na chłopską, która staje się narodową, ma oparcie w rzeczywistości, widocznej dla wszystkich.

Inne jest zagadnienie kierownictwa politycznego. Każdy prawdziwy polityk winien wyczuć naturalne procesy i sformułować ich zasadę, o którą należy stoczyć walkę, bo bez tej przecież do niczego się nie dochodzi. Tak jest i z ideą chłopską. Trzeba uznać ją za narodową, skoro jest taką istotnie, a wtedy rząd dusz chłopskich nie spocznie w rękach ludzi niepowołanych.

(Dok. n.) JÓZEF STARYSZAK

EMIGRACJA POLSKA W TURCJI

O NASZEJ emigracji politycznej, wywołanej klęskami ruchów narodowych w ciągu XIX wieku, ktoś niezadowolony z narzucania przez nią krajowi własnej ideologji powstańczej, nieliczącej się z jego wolą — wyraził się w ten sposób: „Co trzydzieści lat młócą zboże w kraju, a plewy lecą zagranicę"..,

W tym sumarycznym sądzie więcej było złośliwości niż prawdy, z plewami bowiem, których nie brak było, „leciało" zagranicę przeważnie najprzedniejsze ziarno, którego posiew wydawał nieraz, chociaż na obcej ziemi, wspaniały plon w dziedzinie ducha, świadczący o żywotności narodu i wzmagający jego wolę wytrwania.

W zamierzeniach oraz przedsięwzięciach emigracji naszej było dużo pomysłów szalonych i niedorzecznych, dużo działań skazanych na niepowodzenie; było jednak także sporo planów i czynów politycznych, uzasadnionych ówczesnemi stosunkami międzynarodowemi, upoważniającemi do snucia ryzykownych projektów i próbowania ich wykonania, w nadziei, iż z tego może wyniknąć pożytek narodowy.

Jakkolwiekbądź jedno nie może być poddane w wątpliwość, mianowicie nieustanny, niesłabnący zdala od kraju, wysiłek sfer kierowniczych emigracji polskiej, by niedopuścić do usunięcia sprawy Polski z porządku dziennego polityki euro-

pejskiej, żeby ją związać z tym lub innym kompleksem sił, z których działania można było spodziewać się bodaj częściowego jej rozstrzygnięcia, w myśl dążeń do całkowitego odzyskania w przyszłości bytu niepodległego.

I tu podziwiać trzeba upartą energję, okazaną przez emigrację polską w dążeniu do powyższego celu, nie mówiąc o podziwie dla jej ofiarności oraz bohaterstwa poszczególnych jednostek.

A przytem, sądząc nawet surowo niefortunne częstokroć porywy emigracyjne, trzeba mieć na względzie to, że znajdowały one swoje usprawiedliwienie w tem, iż pokusa do działania była nieraz zbyt wielka; źródło jej spoczywało w podniecone) atmosferze moralnej i politycznej ludów Europy XIX w., wybijających się na wolność z jarzma obcego, bądź rozszerzających ramy swych swobód na drodze spisków i rewolucyj.

W tego rodzaju atmosferze lęgły się zwodnicze nadzieje nawet w trzeźwych głowach, cóż więc mówić o tych, jak nasze, co były udręczone długiem wyczekiwaniem zapowiednej chwili wyzwolenia i rwały się do czynu w obawie by ich nie ominęła. A jakże często kuszono z rozmaitych stron emigrację naszą do walki zbrojnej, jakże często przyrzekano jej pomoc, karmiono obietnicami interwencji, akcji dyplomatycznej itp. To wszystko trzeba mieć na uwadze, gdy się wyrokuje o działalności emigracji polskiej oraz o pożytku tejże dla sprawy, którą ona uważała za główne zadanie i rację bytu swego na obczyźnie, a jej rozwiązanie za swój obowiązek względem narodu.

Zresztą, żeby należycie ocenić winy czy zasługi emigracji naszej, trzeba znać dobrze jej dzieje, te zaś jeszcze nie zostały w całości opracowane (dzieło L. Gadona nie czyni temu zadość) — i czekają na swego autora. Tymczasem przybywa wciąż prac, które umożliwią w przyszłości komuś nakreślenie pełnego obrazu życia i działania emigracji polskiej. Jedną z takich jest świeżo wydane dzieło badacza zasłużonego na tem polu, dr. Adama Lewaka p. t. „Dzieje emigracji polskiej w Turcji (1831—1878 r.)" (Warszawa 1935r. Nakładem instytutu wschodniego. Str. 280).

Praca to bardzo ważna z tego choćby względu, iż Turcja była terenem najwięcej, w porównaniu z innemi, sprzyjającym działaniom emigracji polskiej, gdyż tu spotkała się ona z sympatją wogóle dla Polski oraz jej sprawy, a przytem stosunki polityczne państwa Osmanów z niektóremi państwami rozbiorczemi, jak np. z Rosją, były tego rodzaju, że dawały często powód do wysuwania przeciw nim czynnika polskiego.

To też emigracja polska, nazajutrz po klęsce 1830 r., już była należycie zorjentowana co do znaczenia Wschodu muzułmańskiego dla sprawy naszej i rozpoczęła natychmiast żywą akcję propagandową celem uświadomienia innych, zwłaszcza Anglji i Francji, jak ich interesom w Turcji zagraża rozwój potęgi Rosji oraz jej ambicje wschodnie. Najznakomitsi przedstawiciele emigracji naszej (Ad. Czartoryski, Mickiewicz, Mochnacki i t. p.) uważali zagadnienie Wschodu, ze względu właśnie na dążenia zaborcze Rosji zwrócone w jego stronę, za najistotniejszą sprawę cywilizacji europejskiej, a zarazem za kwestję wielkiej wagi dla Polski. Można nawet powiedzieć, iż jedną z naczelnych dążności naszej polityki emigracyjnej było dążenie do zahaczenia, przy każdej sposobności (r. 1830, 1848, 53, 54, 55, 56, 63, 77) sprawy Polski o sprawę Wschodu.

Z założeń tego rodzaju wynikała konieczność utrzymywania stałych stosunków z tym Wschodem, badania jego politycznych nastrojów i zwrotów, zależnych b. często od tego, jakiego obcego mocarstwa wpływy (Rosji, Anglji, Francji) przeważały w danym momencie w rządzie „chorego człowieka", jakim była Turcja w ciągu XIX stulecia; wyzyskiwania okoliczności nam sprzyjających etc... To wszystko wymagało ze strony polskiej dużego wysiłku woli, przezorności, umiejętności działania na terenie niezwykle skomplikowanym, ruchliwym — i środków materjalnych niemałych; wymagało ludzi odpowiednich do pełnienia funkcyj dyplomatycznych, wojskowych it.p., tem trudniejszych do wykonywania, ile że nie popartych siłą i powagą własnego państwa. Trzeba oddać sprawiedliwość emigracji polskiej i przyznać, iż wywiązywała się ona tu ze swoich zadań nieźle, nieraz lepiej niż na innych terenach swej, rozrzuconej po całej Europie, działalności. Co do Turcji to ta okazywała tyle dobrej woli i chęci współdziałania, że w tem nikt inny, z naszych przygodnych przyjaciół z owych czasów, nie może się z nią zrównać. Dużo tu coprawda działał jeszcze urok dawnego Lechistanu oraz wiara w jego potęgę.

Jak iście po turecku objawiała się nieraz wówczas sympatja wschodnich ludzi do Polski, niech sądzi czytelnik z tego, co mówił 1830 r. Chozrew-pasza do posła polskiego w Konstantynopolu: „Rzecz niebywała, odkąd istnieje wiara mahometańska, Sułtan był pięć razy w wielkim meczecie, aby się modlić do Boga za was, psów chrześcijańskich"... W następnych latach, życzliwość Padyszacha i jego przedstawicieli dla Polski, w ten lub inny sposób, nieraz się zaznaczyła w słowach i w czynach. Dokładny obraz stosunków polsko-tureckich w okresie od 1831—do 1878 roku, wyzyskując materjały mało znane, zawarte między innemi w zbiorach raperswilskich it.p., nakreślił dr. Lewak w swej książce. Niezwykle interesujący to obraz ze względu na ludzi, występujących w imieniu emigracji polskiej na widowni Wschodu muzułmańskiego, na ich działalność oraz wypadki dziejowe, w jakich biorą udział.

Ciekawy i pociągający wzrok widok! Przecież szli na Wschód i angażowali się w jego sprawy nieraz najznaczniejsi ludzie nietylko wśród emigracji polskiej, lecz w całym narodzie! Tak więc w 1833 r. rusza generał Dembiński ze świetnym sztabem do Egiptu w zamiarze zreorganizowania jego wojska; inny sławny wódz 30 roku, generał W. Chrzanowski, kilkakrotnie przełamuje rozmaite przeszkody, by módz wiedzę swoją i doświadczenie wojskowe oddać na usługi Turcji; później przyjdzie Bem, nie mówiąc już o licznym zastępie uzdolnionych oficerów polskich, którzy w sztabach rozmaitych armij tureckich pracowali w momentach krytycznych dla Turcji, zawsze z myślą, że wyjdzie to na pożytek sprawy polskiej.

Szedł na Wschód i największy wódz duchowy narodu, gdy znowu wybiła godzina jego czynu — może pociągany nadzieją spełnienia się przepowiedni Wernyhory — i tu doszedł kresu dni swoich. A ileż to niedobitków z krwawych pól bitewnych śpieszyło, jakby im jeszcze mało było przelanej krwi własnej i wrażej, do organizujących się przy wojsku tureckiem polskich formacyj wojskowych-kozackich, dragońskich it.p.

Taka sama ruchliwość i ochota, gdy chodzi o zorganizowanie w Turcji polskiej służby dyplo-

matycznej — głównej agentury w Stambule oraz licznych placówek w rozmaitych punktach półwyspu. Przewinęło się przez te agentury niemało jednostek zręcznych, a wśród nich, oprócz Michała Czajkowskiego (Sadyk-pasza) — który zresztą przedewszystkiem odznaczał się przebiegłością i tupetem — wyróżnili się: Władysław Kościelski, (późniejszy Sefer-pasza) i Tadeusz Orzechowski (Oksza-Bej), prawdziwie uzdolnieni do gry dyplomatycznej przedstawiciele emigracji polskiej.

A wszyscy, wojskowi i cywilni, opanowani są gorączką czynu, wciąż się uwijają na obszernej widowni państwa Osmanów, niedają się z niej usunąć, wbrew groźbom i intrygom wrogów, przeciwstawiają im własną politykę, układają przeciw nim plany wspólnego działania z Turcją, gdy jeden się nie uda przechodzą do innego — w ciągłem poszukiwaniu wyjścia na drogę, dającą choćby słabą nadzieję, że nie wszystko stracone, że jest jeszcze możność bodaj szkodzenia wrogowi, jeśli nie można czegoś pozytywnego zdziałać dla Ojczyzny.

Ogromna żywotność, z woli losów wszakże — rezultaty małe. Sporo krwi napsuto głównemu wrogowi — Rosji, a ileż przytem wylano własnej? Często zupełnie niepotrzebnie, jak w owych, kilkakrotnych wyprawach na Kaukaz, celem wspierania Czerkiesów i innych plemion górskich w ich walkach z moskiewskim najeźdźcą.

Niezawsze też, na wzór tego, co się działo w głównem ognisku, w Paryżu, dzieląc się na odłamy (Czartoryszczyków i Demokratów) działano zgodnie, a to w momentach wymagających wytężonej i solidarnej pracy, jak podczas wojny krymskiej. Tak targał się wówczas M. Czajkowski (zresztą już nie agent polski, lecz pasza turecki) z generałem Zamoyskim o to, pod czyją władzą ma być drugi pułk kozacki; podobnież generał Wysocki z tymże Zamoyskim i inni pomniejsi.

Ale, pomimo wszystko, tak czy owak, z nadzieją powodzenia czy też bez niej, dla honoru i wytrwania, działano bez przerwy na terenie wschodnim niemal przez pół wieku.

Ostatnim rapsodem tej długiej epopei rycerskiej był udział resztek formacji wojskowej Sadyka-paszy w walce pod bohaterską Plewną, gdzie z dawnych kozaków i dragonów sułtańskich zostało zaledwie kilkunastu ludzi. Podobny los spotkał legjon polski, biorący udział w wojnie turecko-rosyjskiej 1877 r. Odznaczył się on wprawdzie pod Kizilarem, lecz został zdziesiątkowany i utracił swego dzielnego dowódcę, majora Jagmina, uczestnika wszystkich walk polskich od 1830 roku. Był to już ostatni czyn zbrojny emigrantów polskich na Wschodzie. Rzekłbyś—śmierć Jagmina, który całem życiem swojem reprezentował ciągłość czynu zbrojnego, nagle tu ją przerwała.

Następne dzieje Europy i Turcji już nie dawały Polakom sposobności do wszczęcia nanowo działalności politycznej na Wschodzie.

W kilka lat po Kongresie berlińskim wypadło mi wędrować po Wschodzie muzułmańskim, gdzie kilkanaście miesięcy 1886 roku spędziłem na Bałkanach, w Albanji, Stambule, tu i ówdzie w Azji mniejszej. W Konstantynopolu miałem sposobność zetknąć się bliżej ze szczątkami emigracji naszej, z lat od 1848 — 78.

Zażywali tu zasłużonego wczasu i dostojeństw tureckich dwaj, niegdyś, adjutanci gen. Józefa Wysockiego z czasów kampanji węgierskiej: Bieliński (Nihad-pasza) i Freund (Machmut-pasza), szefem sztabu głównego był Mussafer-pasza, syn M. Czajkowskiego, Władysław (drugiego syna zabrał Sadyk ze sobą do Rosji, gdzie wkrótce został dowódcą twierdzy w Dęblinie); generał Monastyrski dowodził jeszcze paroma pułkami kawalerji; w San-Stefano mieszkała córka Sadyka, wdowa po kozackim pułkowniku Suchodolskim.

Było tu także trochę emigrantów polskich na rozmaitych stanowiskach w służbie kolejowej i pocztowej, kilku inżynierów, lekarzy, nie mówiąc o mniej wyraźnych zawodach.

W pięknej siedzibie w Bebeku, nad uroczym Bosforem, pp. Henrykostwo Gropplerowie, tak samo jak przed laty, w epoce żywej akcji emigracyjnej, gościnnie i serdecznie podejmowali swoich i obcych, nie wyłączając znacznych, Turków.

Na tych jednak resztkach rozbitków naszych z rozmaitych ruchów narodowych nieznać już było podówczas piętna emigracji politycznej: nikt tu nie reprezentował jej „ideologji", tradycyjną jej polityką nikt się nie przejmował. Czasami, wspominając dawne dzieje, odezwał się ktoś z pogardą o podwójnym renegacie, Michale Czajkowskim, ktoś inny przypiął łatkę Zamoyskiemu albo Wysockiemu; krytykowano niekiedy działalność Okszy-beja albo Miłkowskiego, podrwiwano z Bystrzanowskiego (Arsłan-pasza) bądź z Emin-Beja (Matuszewicz, operetkowy dyplomata) i t. p.

To wszystko wszakże bez namiętności, anegdotycznie, jako coś co minęło i nie powróci. Nie dlatego, żeby tym ludziom nie biły już serca po polsku, że wrażliwość na przyszłość Polski zmalała — nie, owszem, z tem wszystkiem żyli w głębi duszy, tylko w niej nosili poczucie, że oni już w sprawach narodu własnego żadnej roli odegrać nie mogą, a to, co cię ma stać kiedyś, stanie się bez nich. Było w tem nieco fatalizmu i rezygnacji wschodniej, więcej jednak przekonania, że księga ich dziejów emigracyjnych zamknięta została na zawsze.

Co jednak mogło zwrócić uwagę każdego, kto im w duszę głębiej zajrzał, to mianowicie to, iż w świadomości ich tkwiło żywe poczucie, że aczkolwiek nie dane im było zdziałać czegoś istotnego dla Ojczyzny, to przecież, przynajmniej, zasłużyli się dobrze — a to i Polsce będzie kiedyś policzone — wobec mieszkańców tej ziemi, która ich nie odtrąciła i której chleb spożywają od lat wielu. I to było prawdą: zasługi emigracji polskiej względem Turcji są znaczne. Jedni z pośród niej ćwiczyli wojsko tureckie i podnosili je na poziom europejski, inni dopomagali w zabiegach dyplomatycznych (T. Orzechowski np. między innemi, ułatwił W. Porcie nawiązanie bezpośrednich stosunków z Watykanem, co było bardzo ważne ze względów wyznaniowych), kierowali krokami przedstawicieli Turcji na politycznej arenie Europy; znów inni wprowadzali ład do administracji, budowali drogi, koleje żelaźne, linje telegraficzne, bronili przed epidemjami i organizowali służbę zdrowia (dr. Wł. Jabłonowski), badali i eksploatowali bogactwa mineralne kraju (Groppler, hr. Rochetin), znalazł się nawet jeden (generał Borzęcki), co uświadamiał Turkom ich aryjskość i wykreślał linję ideowego rozwoju.

To wszystko za życzliwość, za swobodę działania na rzecz Polski na ziemi tureckiej, wreszcie — gdy możność takiego działania ustała — za chleb mniej czerstwy niż gdzieindziej na tułactwie, podany przyjazną ręką.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

RAPTULARZ POETYCKI

Na pierwszy, powierzchowny rzut oka nowa książeczka pana Artura Chojeckiego pod tytułem „Miesiące” sprawia wrażenie jakiegoś kalendarzyka. A jeżeli niekoniecznie kalendarzyka, no to jakiejś broszurki popularno naukowej. Żółtą (ewentualnie zieloną, bo są i takie) okładkę zdobi okrągła tarcza, w której środku wyobrażone zostało uśmiechnięte oblicze promienistego słońca, dookoła zaś obwodu rozmieszczono w symetrycznych odstępach Ryby, Barana, Byka, Bliźnięta, Raka, Lwa, Pannę, Wagi, Skorpiona, Strzelca, Koziorożca i Wodnika, jednem słowem cały komplet wszystkich dwunastu znaków Zodjaku. Zauważywszy ten rysuneczek okładkowy za szybą księgarni, przechodzień zadaje sobie pytanie: Cóż to może być, jeżeli nie kalendarzyk? Czyżby jakowyś elementarny wykład astronomji dla użytku wyższych klas szkół początkowych? A może jakiś zamierzający zuchwale konkurować o palmę pierwszeństwa z rozprawami hermetyczno-naukowemi sławnego maga Stanisława Starży Dzierżbickiego podręcznik zwięzły astrologji, czy innej wiedzy tajemnej?

Otóż ani jedno, ani drugie, ani trzecie.

Wziąwszy książeczkę do ręki, spostrzegamy podtytulik: „Wierszy serja druga” i przekonujemy się, że hypotezy nasze były błędne.

A zatem wiersze. Jakie wiersze?

Wertując pobieżnie tomik, czytelnik spostrzega przedewszystkiem, iż u góry każdej stronicy wydrukowana jest nazwa miesiąca: styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień. Tak właśnie jak w raptularzach kalendarzowych. Stronic liczy tomik siedemdziesiąt parę, więc na każdy miesiąc wypada kilka kartek. Czytelnik zauważa następnie, że zbiorek rozpoczyna się styczniowym „Polonezem noworocznym”, kończy zaś grudniową kolendą. W cyklu wierszy styczniowych, tuż zaraz po wzmiankowanym wyżej noworocznym polonezie, znajdujemy inną kolendę — na uroczystość Trzech Króli. W serji wierszy „majowych“ wpada nam w oko litanijna inwokacja do Matki Boskiej Berdyczowskiej. W „sierpniu” widzimy kantyczkę na święto Matki Boskiej Zielnej. W „listopadzie” spostrzegamy wiersz pod tytułem: „W dzień zaduszny”.

Nie wyciągajmyż na litość Boską przypadkiem z tych powierzchownych spostrzeżeń przedwczesnego i fałszywego wniosku, że trzymamy w ręku zbiorek jakichś wierszy okolicznościowych, tworzonych a *priori*, na „urząd”, czy na obstalunek — na rozmaite uroczystości i święta. Nie wyciągajmy wniosku, że utwory pana Artura Chojeckiego należą do tej kategorji literackiej, którą przywykliśmy określać pogardliwem mianem „poezji kalendarzowej”. Kategorja ta wprawdzie — (jak wogóle żadna kategorja, z wyjątkiem jedynym kategorji wierszy lichych) — nie zasługuje bynajmniej na pogardę. Najsławniejsi nasi poeci pisywali wiersze okolicznościowe. Do kalendarzy pisywał wiersze nie tylko Kornel Makuszyński, ale i sam Jan Kasprowicz. Ale utworów pana Artura Chojeckiego, zebranych w tomiku pod tytułem „Miesiące” do kategorji owej stanowczo zaliczać nie należy. Wystarczy bowiem przeczytać na chybił trafił kilka pierwszych lepszych zwrotek, żeby przyjść odrazu do przekonania, że autor nadał swojemu tomikowi pozory kalendarzowości, przez czystą kokieterję, że umyślnie wystylizował ową książeczkę na coś w rodzaju staroświeckiego almanachu. Wiersze jego to najautentyczniejsza, najrzetelniejsza, liryka. Książeczka p. t. „Miesiące” jest poprostu pamiętnikiem wzruszeń poetyckich, tyle że zanotowanych przez autora nie w zwyczajnym zeszycie, czy na luźnych świstkach papieru, lecz w porubrykowanym kieszonkowym kalendarzu.

Prawdziwy rymopis kalendarzowy stawia sobie najpierw pytanie:

— Co by tu napisać na miesiąc styczeń?

Załatwiwszy się ze styczniem, odwala luty, potem marzec i t. d., aż uzbiera się cała serja dwunastu miesięcy. Gdy zbliża się jakieś święto rymopis typu kalendarzowego stara się przemocą wzruszyć niem na kredyt i przygotowuje poematy na Wielkanoc, na Trzeciego maja, na imieniny prezydenta Rzeczypospolitej.

Inaczej zazwyczaj tworzy wiersze autor „Miesięcy”.

Idzie sobie poeta w mroźny styczniowy poranek szybkim krokiem do biura i nagle rodzi mu się w głowie strofa:

„Żyd pierzynę trzęsie,
Lecą puchy gęsie.
Biało, biało, biało...
A to śniegu nasypało!...”

Strofa ta prześladuje zapewne poetę dopóty, dopóki (odgrzawszy się w ciepłym pokoju) nie wyciągnie on z kieszeni kalendarzowego notatnika i dopóki jej w nim sobie pod rubryką „styczeń” nie zapisze. Obsesja wówczas mija i poeta ma na kilka dni spokój.

Tak to sobie przynajmniej wyobrażam.

W jakiś czas później mniej więcej po tygodniu (liczba pięćdziesięciu kilku zawartych w tomiku utworów świadczyłaby o tem, że natchnienie nawiedza poetę mniej więcej raz na tydzień, choć oczywiście zdarzają się tygodnie zimowe, w których go Muza nie nawiedza wcale i zdarzają się znowu inne, zwłaszcza wiosną, w których go nawiedza kilkakrotnie) otóż w jakiś czas później p. Chojecki spogląda przez okno na dwór. Znowu śnieżyca. Poeta sięga po djarjusz i rejestruje nową impresję:

„Sypie śnieg.
Ziemia, kokietka stara,
Zakryć pudrem się stara
Zmarszczki, pryszcze, liszaje i wiek”.

Poeta zapisuje tylko takie impresje, które są tego godne. Każda niemal uwaga p. Chojeckiego jest interesująca. Każda przenośnia, czy porównanie

świeże i oryginalne. Za zanotowanie każdej jesteśmy autorowi wdzięczni.

W zimie poeta marznie i martwi się mgłą zatapiającą świat w chaosie. Ale o przedwiośniu budzi się w poecie optymizm. Wiosna wypędza pana Chojeckiego z pomiędzy murów miejskich do ogrodów na spacery. Poeta obcuje bardzo zażyle z kwiatami, drzewami, zwierzętami, owadami. Tworzy prześliczne bajeczki o motylach, bożych krówkach, chrabąszczach etc.

„O szarej godzinie
Chrząszcz brzmi w trzcinie.
Nadobna chrząszczyczko,
Zwróć ku mnie swe liczko.
Słodka czekoladko
Zechciej być mężatką.
Chyba pani nie zaprzeczy,
Że jestem chrząszczem do rzeczy.
Alboż ja to jaki taki!
Śliczne będziem mieć pędraki".

Lato spędza poeta na wsi, którą kocha po szlachecku. Obok uroczych bajeczek zwierzęcych, kwiatowych i owadzich znajdujemy w notatniku poetyckim pana Chojeckiego wysokie wzloty religijne i głębsze zadumy filozoficzne. Poeta jest człowiekiem bardzo rozumnym, wykształconym i wysoce kulturalnym. Pozatem posiada wrażliwe serce i duszę szczerze pobożną. W święta modli się rymami i modlitwy swoje wciąga do raptularzyka. Oto jeden z najpiękniejszych wierszyków cyklu letniego:

„Zebrałem na swem polu
Snop maków i kąkolu,
A drugi snop bławatków,
A trzeci różnych kwiatków!
Chociaż marne mam żyto,
Ale kwiatów obfito,
A nad głową szmat nieba.
Czegóż więcej potrzeba?
Inni niech mają zboże
Mnie daj kwiatów mój Boże,
Za mą pracę leniwą
Niechaj biedne mam żniwo.
A gdy będzie Twa wola,
Że mi każesz zejść z pola,
I na tamtym też świecie,
Niechaj wita mnie kwiecie".

Wczytując się w książeczkę lubujemy się czystością kryształową polszczyzny, bawimy przednim dowcipem autora, wzruszamy jego uczuciami, delektujemy się wreszcie majsterstwem iście jubilerskiem z jakim poeta wycyzelował te swoje minjaturowe przeważnie utworeczki, w których jak w kroplach rosy odzwierciadlają się wspaniałe cuda Bożego świata. Tu i ówdzie wiersze stylizowane są na modłę rymów staro-polskich. Z tego powodu krytyk „Warszawskiego Dziennika Narodowego" zdając sprawę z tomiku pana Artura Chojeckiego czyni autorowi zarzut, iż autor naśladuje księdza Bakę.

Szanowny krytyku!

Księdza Baki nie wahał się naśladować spoczywający dziś na Wawelu Juljusz Słowacki.

Tenże sam krytyk pisze:

„Takie wiersze „na miesiące" ulubione były w dawnej Polsce od wieków. Mieściły się w nich nierzadko prognostyki, osądzenia, praktyki, wskazówki, admonicje, przypomnienia, nauki wykładane bardzo poważnie, zresztą częściej prozą niż wierszem".

Nie bardzo to rozumiem.

W wierszach były nauki prozą?

Czytam dalej:

„Przepowiednie były czasem niezmiernie dokładne tak np. w kalendarzu na r. 1528 podano, że wtóra kwadra kwietnia w piątek przyszły przed niedzielą białą po 1 godzinie letnie ciepło da a „w środę na noc mgła rośna będzie". Z tej olbrzymiej i bardzo poczytnej pseudouczonej literatury pełnej oszustw i fałszerstw śmiano się i szydzono już w XVI wieku. Profesor Jan Łoś odnalazł i przedrukował w r. 1911 jeden taki frantowski „Kalendarz wieczny" z końca w. XVI, ośmieszający owe prognostyki".

Szanowny krytyk „Warszawskiego Dziennika Narodowego" przyznaje wprawdzie, że p. Chojecki w prognostyki się nie bawi. Nie mogę jednak pojąć, poco piorunuje na jakieś fałszerstwa i oszustwa, gdy ma do czynienia z najniewinniejszą liryką, ze szczeremi impresjami, bajkami zabawnemi i z pobożnemi modlitwami. Czyżby historyjkę zacytowaną wyżej, o oświadczającym się chrabąszczu zaliczał do pseudouczonej literatury?

Szanowny i kochany erudyto! Dałeś się nabrać panu Chojeckiemu na kokieteryjne pozory kalendarzowości, o których rozpisałem się szeroko na początku niniejszego artykułu. Gdybyś się trochę życzliwiej nad wierszykami pana Chojeckiego zastanowił, tobyś spostrzegł, że jest w nich daleko więcej nowoczesności, niż staroświecczyzny.

Czyż naprzykład wierszyk p. t. „Niewolnica mody", nie jest równie nowoczesny, jak utwory pani Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej?

„Pani Dalja Georgińska,
Znana piękność ukraińska,
(Trochę już niegdydzisiejsza)
Chce wyglądać jak gejsza!
Myśli, że będzie ładniejsza
Z fryzurą zmienioną
I wdziawszy kimono.
Więc, puszczając przeszłość kantem,
Robi siebie na chryzantem".

Nie między bezimiennymi autorami almanachów wróżebnych należy szukać protoplastów literackich p. Artura Chojeckiego, ale poprostu w historji literatury. Wśród tych protoplastów znajdzie się niewątpliwie i ks. Baka, ale obok wszystkich innych większych i mniejszych pisarzy, co kształtowali bogatą naszą kulturę literacką, której pan Artur Chojecki jest pełnoprawnym spadkobiercą i — w swoim zakresie — pomnożycielem.

S. J. G.

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

3. DO J. B. Zaleskiego

Rzym, środa, 9.II 1848.

Wczoraj do późna w nocy u Irydjona siedząc, właśnie o Towiań[skim] mówiliśmy (w czem on cale zdrowe ma pojęcie), kiedy weszedł Lucjan i oświadczył, że Pan Adam przyjechał. Jeszcze go tedy nie widziałem ani ja, ani Hrabia. Potem już popołudniu nadybałem Artura u pana Aleksandra na herbacie jego fantastycznej, gdzie uradował mię Twym listem, za który niech Ci Bóg odpłaci. Więcej na teraz już nie piszę, a do przedpółnocy u Irydjona wracam.

Mówiliśmy tedy o T[owiańskim], już to od góry zaczynając, a przechodząc aż do braci młodszych, tych to poczciwych dziwolągów, których po świecie się spotyka. I powiedziałem ja, że oni tak o wierze i cudach nam gadają jak Bourgeois-Gentilhomme, kiedy mu oświadczono, iż prozą się wyraża. Co się Irydjonowi podobało niezmiernie. Wspominam to dlatego, ażebyś widział, jak jest w sobie i z siebie przygotowan do widzenia się z Wajdelotą.

Słyszałem o braciszku moim, że się w Duchy zapisał. Różnych używa Pan Bóg środków; mam w duszy przekonanie, iż to będzie u niego korytarzem, przejściem tylko, nie więcej; — jakoż go spokojnie oczekuję. Nie naganiaj mi tej spokojności. Wątpić wierzący tylko może,—acz nietylko wątpiący może wierzyć—i wtem prawda jest Wiary.

Dzisiaj znowu spotkałem Irydjona, który już się z p. Adamem widział. Pan Adam podobno nikogo poznać nie chce, ale ja mam go w tych dniach u Irydjona spotkać. Zygm[unt] jest jak najdoskonalej usposobiony względem spotkania się z wszelką resztką szału (jeśliby jaka była). To, co mi piszesz o Zyg[muncie], zmodyfikowałbyś sam zapewne, gdybyś go widział po pobycie w sercu ziemi naszej tak nieustannie zakrwawionym. Nie przeczę Ci, ale owszem jako dobrą nowinę piszę, iż Irydjon jest jednym z niezwyczajnych przykładów trzeźwości w mistycyźmie, którą tylko znajomość katolicyzmu zrodzić może. I nie wiem, jak było, ale dzisiaj widzę w nim miarę wyrobioną, a ku rzeczom Bożym i ojczystym miłość szczerze gorącą. Kiedy po raz drugi Cię widziałem, stało się jakoś, iż do Colosseum (pomnisz) szliśmy. Podobnież i z Zyg[muntem] przypadek nas tamże zaprowadził. Radbym, aby podobnie z p. Adamem po tej ziemi, tak do Polski podobnej, krótką odbyć pielgrzymkę.

Co się tu dzieje?—jest zagadką. Neapolitańskiej konstytu[cji] rezultatom nie wierzę, jest to *gens*, który tak się jej domaga, jak zwykł krzyczeć o spełnienie się cudu S. Januarjusza i zagląda potem w szklanną puszkę, dla sprawdzenia, o ile cud się spełnił. Tu zaś w Rzymie (zdaniem mojem) jeżeli temu, co się robi, nie przerwie jakie barbarzyństwo lub szalbierstwo zewnętrzne, to niezawodnie w bardzo niedługim czasie do konstytucji nawet przyjdzie, i to taką mądrością, miarą, estetycznością podwładnych z jednej strony, a świętością władzy z drugiej strony, iż polityczne usposobienia wieku tymże organem politycznym o egzystencji cudów prawie dotykalnie się przeświadczą. Bo powiadam Tobie, że lud co parę dni o jakieś zmiany, albo wykonawstwo praw formujących się wołając, schodzi się i rozchodzi, woła albo ucisza się, tak jakby najklasyczniejszej dramy chóry; — jest to zanadto piękne i aż straszy idealnością swoją. Albowiem w każdym ideale jest śmierć, jak to np. w antykach spotykamy, którym rumieńców dać nie można, albowiem idealne są dlatego, iż natura w nich zmarła. Później my, barbarzyńcy, nie pojmujemy jeszcze tego kapłaństwa mas cichego i tej wspaniałości gestów w masie.

Tymczasem tyle tylko piszę (krótko, ale częściej). Pana Józefa bardzo serdecznie ściskam i pamięci Pani się polecam.

Obraz mój idzie, idzie. Dużo jest prawdy w tem, co o Rzymie dla artysty wspominasz, — później o tem. Zaprawdę, aby dziś malować, trzeba mieć choć dwie dusze. Michel Angelo, ktoś mówi, iż miał cztery, i dlatego przy huku dział, które był ustawił, Florencji broniąc, rzezał przecie one niezrównane groby Medyceuszów!

Jeszcze raz: Bóg zapłać! Szczerze też Jemu Cię polecam.

W Bochni znowu chłopstwo okazało instynkta rzezi; rząd uśmierzył. Panie, zmiłuj się nad nami!

C. N.

Uwaga wydawcy: Autograf, bez adresu, w Bibl. Jagiel., wśród korespondencji J. B. Zaleskiego. Na arkuszu listowym Norwid przed tekstem w lewym rogu narysował piórem portrecik (z profilu) Z. Krasińskiego (podpisany: „Irydjon”), na prawej zaś połówce drugiej kartki (na 3 str.) w obramieniu z suchych gałęzi, oplecionych bluszczem, portret głośnego wówczas w Rzymie trybuna, A. Brunetti, zwanego Cicernachio, z podpisem: „Cicernachio, ale sfantastyzowany“. Wokół zaś winietki napis: „Bluszcze wieków wyssały drzewo,—uwieńczyły gałęzie szkieleciane, i zdaje się, iż drzewo to zakwita. — Bogdajby nie tak z laurem Włoch!“—Drobne fragmenty tego listu przytoczył Krechowiecki (I 65, 85).

Wspomniany Lucjan Weyssenhoff rzeczywiście pierwszy doniósł Z. Krasińskiemu w nocy 7/8 II o przyjeździe Mickiewicza (J. Kallenbach, *Towianizm*, s. 94) — Aleksander i Artur Potoccy. — Z Zaleskim poznał się Norwid i zaprzyjaźnił w Rzymie, latem 1847 r. — W liście z dn. 27.I 1848 pisał Zaleski do Norwida: „W Rzymie wszelka praca malarska idzie pospolicie nieśmiało i niesporo“ (*Koresp.*, I 89). Zaleski widział wspomniany obraz Norwida w rzymskiej jego pracowni i podaje, że miał on za temat „ogromną nakolizejską wizję“.

NA WIDOWNI

O tem, czy należy energję moralną narodu lekceważyć. — Linja dziejowa jako prawo psychologiczne narodu. — Samorzutność instynktów i dobrowolność. — Duch narodu i myśl polityczna. — Jak to było w XVIII wieku. — Przyrodzone prawo niepodległości i konfederacja sił narodowych. — Jakie to wszystko dziwne dla sanacyjnego Macchiavella.

NIE TRZEBA narzekać na zastój, idziemy bowiem naprzód. Zastój byłby wtedy, gdybyśmy, w bierności pogrążeni, powiedzieli sobie, że dzieje robią się same, my zaś czytamy gazety i dziwujemy się, albo zgoła nie czytamy. Różne były próby przed wojną i po wojnie wpędzenia narodu w stan psychiczny bezdziejowości argumentami pięści i perswazji, że ktoś — jacyś specjaliści od robienia dziejów za nas myślą. Naród jednak nie mógł się wyrzec swego w dziejach udziału i broń Boże nie dlatego żeby chciał w czemkolwiek uwłaczać p. Sławkowi lub Kozłowskiemu, ale poprostu dlatego, że nie może wyrzec się swej duszy, tej duszy, przez którą właśnie biegnie linja dziejowa.

Linja dziejowa jest ważniejsza od „linji podziału", o której tyle się teraz mówiło. Jakże naród wyczuwa tę swoją magistralę w chaotycznym splocie ścieżek współczesności? Istnieje taka busola, oznaczająca kierunek dziejów, i tę busolę każdy musi mieć w sobie, albo przy sobie w przewodnikach, którym ufa. Linję prostą (a prostemi drogami trzeba chodzić) określają dwa punkty: instynkt narodowy, a potem myśl, jako świadomość woli. Bo instynkt łączy się z myślą przez dążenie, wskutek czego owa linja dziejowa jest kierunkiem dynamiki życia. To nie jest samo bierne poczucie narodowe i potem luźna jakaś teorja, lecz razem uświadomione dążenie. Taka myśl jest i d e ą narodową, a idea różni się od suchej operacji logicznej swoją dynamicznością. To nie tylko światło, lecz i siła motoryczna.

Idea wiąże jednostkę w całość, że nie jest rozłamana między uczucia i rozum, luźno działające, lecz że spełnia swe przeznaczenie, jako człowiek pełny, że zdolny jest połączyć w linji prostej swoją przeszłość z przyszłością, i tę przyszłość sobie wytknąć. Budowa całego narodu polega na zasadzie tej osi organizacyjnej. Na tej zasadzie sprzęgania instynktów z myślą łączy się t. zw. inteligencja z masą narodową, całość społeczną przebiega prąd ideowy i sprawia, że instynkty narodowe znajdują swój wyraz w idei dziejowej.

Jest to odrębny od wszystkich innych tworów społecznych typ organizacji czysto humanistyczny, bo wymagający od swego atomu, jakim jest jednostka, pełni człowieczeństwa. Bez jednostki, zdolnej się zorganizować na tę modłę ideową, naród, jako twórca swego państwa niepodległego, jest nie do pomyślenia. Linja dziejowa stanowi tę oś krystalizacyjną osobowości narodowej. Ona wiąże kapitał instynktów nabytych przez dzieje dotychczasowe z dalszą linją przez myśl wytkniętą.

W chwilach szczególnego napięcia świadomości dziejowej, gdy—jak teraz—utrwalić chcemy zdobycze odrodzenia narodowego, ze szczególną jasnością staje przed oczyma zagadnienie państwa narodowego. Czy naród dla byle przeszkody, dla czyjejś zachcianki ma zrzec się swej własnej budowy i misji, jaką jest wytworzenie pełnej osobowości dziejowej? Czy ma oddać swój warsztat dziejowy elementowi obcemu, albo poddać się otumanionym „budowniczym", którzy sobie ubrdali ideał wręcz odmienny, jakiś humanitarystyczny (nie humanistyczny), domagający się zburzenia narodu i zużytkowania jednostki do budowy jakiejś „ludzkości"? Na to w wieku XX już za mądrzy jesteśmy tu na zachodzie, żeby na takie z głupia frant ideały dać się nabierać. My swej cegły na tę zabawę nie oddamy.

Ale, niestety, doktryny liberalne osłabiły znacznie budowę narodową w ciągu swego bezkarnego grasowania w Europie. Ludzkości jak nie było tak niema, ale na nadwątlone mury narodów są nabywcy w postaci żydów.

— — — — — — — — — — — —

W historjografji naszej zdarzył się fakt pierwszorzędnego znaczenia. Prof. Władysław Konopczyński odsłonił widok na ostatnich lat 30 wieku XVIII, mianowicie na życie naszego n a r o d u w tym czasie. Horyzont był tutaj zamknięty jakąś ścianką prowizoryczną, przez którą właściwego społeczeństwa nie było widać. Wyobraźnia nasza historyczna nie sięgała poza Kościuszkę, koncentrując się na boiskach powstań XIX wieku, rzęsiście oświetlonych żyrandolami bohaterstw. Historjografom tych czasów nie zależało na tem, co się działo w Polsce przedtem, kiedy naród budził swoje instynkty do reakcji na opłakany stan Polski, która, zdawało się, zagubiła już swoją linję dziejową. Wtedy już szukano dla instynktów niepodległości połączenia z myślą dziejową, wytwarzano ideę zapalną i tak dynamiczną, aby mogła poruszyć do czynu cały naród. Wysunięto jako zawołanie to, co było najpowszechniejszego w sercach: „Jezus, Maryja!"

Konopczyński roztacza obraz Konfederacji Barskiej. Jeszcze istniało państwo, jeszcze był król. Mędrkowano i kombinowano jakiś surogat myśli państwowej, ale to nie była idea snuta z duszy narodu. Podniosły bunt instynkty niższych warstw szlacheckich. Na nich kończył się wtedy naród. Pułascy, biskup Krasiński, Wybicki podawali tym popędom niepodległości zagrożonej myśl ratowniczą. I myśl nieporadna i ruch nieporadny, bo to istotnie były czasy upadku duszy narodowej, rozstrojonej przez Sasów. Zbytnio zaufała bezwładowi, że dzieje same się robią i że państwo samo wszystko zdziała bez wkładu duszy narodowej. Ale nam dzisiaj, świadomym praw życia narodowego, widok tych zmagań przedstawia się tragicznie i bardzo pouczająco.

Nie było wtedy tak precyzyjnych międzynarodowek jak dzisiejsze związki żydowskie, masońskie i socjalistyczne, któreby rozkładały naród od wewnątrz za pomocą podstawionych idej antynarodowych; robiono to wtedy grubo w imieniu dworów państw obcych, które poprostu kupowały za pieniądze przewodników „ideowych". Skończyło się oczywiście rozbiorami, gdy już zadużo było ciała obcego w organizmie narodowym. Reakcja konfederującej się szlachty nie podołała.

Zdrowe były instynkty, zapładniały się ideą, a zbrodniczość sił obcych w tem była najbardziej ponura, że płód ten strącała, że wszystkie wysiłki skierowała ku temu, aby z tej męki, jaką ciało narodu przechodziło, nie narodziła się Polska no-

wa. Bliższe są nam te czasy teraz i bardziej zrozumiałe, niż kiedykolwiek, nam, głoszącym prawdę państwa narodowego. My wiemy i czujemy z całym mającym zdrowe instynkty ludem, że idea niepodległości jest istotą duchowego życia narodu, nietylko na użytek powstań, ona przyświecać musi narodowi stale w pracy nad rozwojem życia po linji dziejowej, a praca jest zawsze walką.

Myśl o niepodległości narodu jest z natury rzeczy konfederacka, bo liczy na zespalanie dążeń samorzutnych ku jednemu celowi, utrwalania bytu państwa. Król Stanisław August zwątpił już o narodzie, odmówił też przyznania Konfederacji charakteru instytucji legalnej, wolał się oprzeć na siłach obcych, gospodarujących w kraju.

Patrzymy na rwące się włókna związków konfederackich z niezmiernem współczuciem, rozumiejąc jednak, że było to ćwiczenie organizującej się dopiero do życia nowoczesnego masy narodowej, tej masy, która za grzechy swoich przodowników 150 lat będzie pokutowała w jarzmie niewoli. Czytamy zaś te dzieje z tem większem poruszeniem serca, że wiele tam analogji do czasów obecnych. Żydzi przecież chcą odgrywać w naszej polityce rolę Repnina, a „sanacja" chętnie w nich widzi swego aljanta.

— — — — — — — — — — — —

Pisarze sanacyjnego pokroju rzucają cień na przeszłość szlachecką, aby pod hasłem uzdrowienia zmienić typ ustroju psychicznego Polski. Niechby jasno wypowiedzieli pogląd na Konfederację Barską: gdzieby chcieli widzieć swoje stanowisko: po stronie Pułaskich, usiłujących rozniecić w instynktach obywateli płomień idei politycznej, czy też po stronie króla Stasia, który te instynkty gasił przy pomocy obcej straży ogniowej, a to w celu uratowania swego panowania. Z odpowiedzią na to drażliwe pytanie pośpiesza, właściwie podpowiada odpowiedź na to pytanie nowozaciężny adherent z „Awangardy" sanacyjnej p. Drobnik (Poznań). Nazwisko to może mylić pozorem swej skromności, p. Drobnik zaś występuje w roli Macchiavela i daje rady swemu „księciu". To, co doradza, to są niby *„imponderabilia"* ale ważne.

Ostrzega przed liczeniem się z „megalomanją narodową", mianowicie z tem, co się gada o znaczeniu psychiki polskiej, o tradycji duchowej. „Nie wolno się cofać przed przebudową duszy polskiej".

Zasadę „rzekomej tradycji i ideałów polskich" głoszą Polacy „nie znoszący atmosfery twardej dyscypliny i rozkazu". Ich zdaniem „Polaków tylko przekonywać wolno, a pospolite ruszenie jest szczytem najlepszej polskiej tradycji".

Więc sobie p. Drobnik pokpiwa z tego „ducha narodu", któryby chciał państwa „bez przymusu". Jak ktoś chce, to dobrze, a jak nie chce— to trudno.

Ale godzi się w tem miejscu przerwać wymowę sanacyjnemu Macchiavelowi i zwrócić uwagę, że nie jest drogą do autorytetu trafną szydzenie z prawd, w które się dotąd wierzyło. Żaden myśliciel polski nie wyobrażał sobie nigdy narodu i państwa jako dwu przeciwstawnych bytów. Jeśli się rozróżnia te pojęcia w sposób logiczny, to tylko w tem znaczeniu, jak je określiłem w pierwszej części niniejszego tryptyku. Naród i państwo stanowią organiczną całość. Do czegóż dąży naród w potencjalności swoich instynktów, jeśli nie ku sformowaniu się w państwo, aby przy jego pomocy zapewnić sobie niepodległość i wielkość? Czy według p. Drobnika żółw ma sobie narzuconą skorupę z figlów dialektycznych, czy też sam ją sobie wytworzył i chciał, aby była twarda i nieustępliwa? Jeśli to drugie, to poco robi z tata warjata i wykręca jakiś system odwrotny oraz insynuuje żółwiowi, jakoby źle się czuł, jako że „zamknięty w skorupie niewygodnie siedzi"? Naraża się na obraźliwą żółwia propozycję.

Nie zawadziłoby trochę metody. Skoro mowa o prawach rządzących rozwojem życia narodowego i o ideach czy ideałach, będących zjawiskiem psychologicznem, to nie można tych praw zaprzeczać na podstawie zjawisk patologicznych, jakie w dziejach zaszły. One właśnie pouczają, jak powinno wyglądać zdrowie. Nasz Macchiavelli doradza swemu imaginowanemu „księciu" zmienić duszę narodu, zmienić instynkty, to, co Eysymontt w swych artykułach nazywa *„habitus* narodowy". Sądzę, że łatwiej zmienić owego „księcia". Dlaczego? Bo łatwiej niż przyrodę zmienić to, co powinno być myślą, co ma byt swój opierać na energji, dobytej z ciała narodu. Niechże będzie myśl państwowa tak prawowierna, jak ów pancerz na żółwiu, to czy znajdzie się Polak, któryby tę myśl odrzucił i nie chciał jej służyć? Czy król Staś był mocniejszy przez to, że przeciwstawiał się instynktom narodowym?

Nie doszłoby do rozbiorów, gdyby „książę" wyzyskał siły narodu i nie dławił ich przy pomocy Stempkowskiego, Branickich, Radziwiłłów. Nie o to chodzi, jak to p. Dr. stara się wyśmiać' żeby naród miał rządzić się „pospolitem ruszeniem", lecz chodzi o sztukę korzystania z pospolitego ruszenia serc, pragnących siły i wielkości państwa. Nauka o narodzie wykładana jest na użytek „księcia" i w jego interesie. Wykładają ją, mianowicie ludzie ideowi, którym zależy, aby jego władza była silna i nie tylko silna, ale i twórcza. Nie dodaje to zgoła powagi ojcu rodziny, gdy gładzi dzieci pod włos i pod nos i nie licząc się z ich charakterami, krzyczy tylko o swej mocy, a duszami dzieci nie włada. Ileż skuteczniejszy jest przymus, rozłożony między egzekutywę a wnętrze człowieka, między przymus zewnętrzny a dobrowolność. Od tej dobrowolności poddawania się rozkazom daleko do „pospolitego ruszenia", jako formacji wojskowej. Wydaje się ono środkiem śmiesznym, wątpię jednak, czy p. Drobnik śmiał się z niego w r. 1920.

Wogóle — zdaniem naszego Macchiavela — ster państwowy może się nie liczyć z t. zw. narodem. „Niema"—powiada on dalej —„większej fikcji niż... t. zw. opinja publiczna". Idea? Grupy ideowe? „Grupy ideowe oraz ludzie ideowi znajdują główne pole działania w czasach ciężkich, gdy załamują się podstawy bytu", w czasach niepodległości są przeżytkiem. W czasach niewoli owszem byli ludzie ideowi, ludzie bez stanowisk, sankiuloci. Dziś warunki się zmieniły. Owszem ideowcy są potrzebni, ale muszą być inni. Dawniej byli bez posad, dziś muszą sprawować „władzę faktyczną". Dawniej byli bez portek, głodni, rewolucyjni; „dzisiaj naodwrót nie może być rzeczą normalną, ażeby grupy ideowe nie rządziły państwem"...

Pogląd na sprawę idej jest dziś uproszczony. Grupy ideowe to są te grupy, które zajmują „stanowiska hierarchicznie szczytowe". „Polak ideowiec w wolnem państwie polskiem niekoniecznie skazany jest na wyrzeczenie się wielu rzeczy, których wyrzekać się musiał, jako ideowiec w czasach zaborczych..."

Do tak miłego przeświadczenia doszedł praktyczny ideowiec. Oczywiście trzeba tylko ideę nieco sfasonować w przystosowaniu do posady. I to byłby cały sens rozważań Macchiavela, ile że szkoda miejsca na zajmowanie się nim. Kończy zaś rozprawę taką radą, udzieloną zwierzchności: Żadnych wahań! „Wogóle załamanie się władzy polega zwykle nie na zwycięźeniu rządzących, ale na ich paraliżu wewnętrznym. Kto ma władzę w ręku... ten rozporządza takiemi środkami, iż władzy oddać nie potrzebuje".

Jednym słowem „Polak ideowiec" może teraz nie troszczyć się o stronę ideową stosunku rządzących do narodu. *Beatus qui tenet.* Jakież to błogie czasy wypoczynku dla ideowca!

ZYGMUNT WASILEWSKI

DZIEŁO BRACI JĘDRZEJEWICZÓW

Z TAKIM TRUDEM i doktrynerskim uporem wzniesiony przez b. ministra Janusza Jędrzejewicza gmach reformy szkolnictwa polskiego zaczyna się z trzaskiem walić.

Po dniach triumfów i pozornych zwycięstw przyszły gorzkie dni klęsk i zawodów.

Nie udała się reforma szkolnictwa powszechnego. Zawiodła chytrze pomyślana reorganizacja a raczej dezorganizacja szkół wyższych. Miała na celu ujarzmić młodzież i wziąć na powróz naukę i profesorów. Ani jedno ani drugie nie dało spodziewanych rezultatów. Młodzież nie uległa mechanicznemu naciskowi i nadal w olbrzymiej większości walczy w szeregach narodowych, bądź narodowe ideje wyznaje, profesorowie swoją naukową niezależność nagół zachowali.

Żydowsko-sanacyjne rachuby na to, że pod wpływem reformy p. Jędrzejewicza znikną nagle walki Polaków z żydami na uniwersytetach, również sromotnie zawiodły. Kto miał jeszcze jakieś w tym względzie złudzenia, ten je stracił w bieżącym roku akademickim, obserwując, z jak żywiołową siłą wybuchły na nowo antagonizmy polsko-żydowskie.

Jeszcze raz okazało się, że konfliktów dziejowych, mających swoje głębokie uzasadnienie, nie da się dekretami ani ustawami zażegnać. Będą trwać dotąd, dopóki się nie usunie źródeł walki, t. j. jak w tym wypadku żydów z polskich uniwersytetów.

Spaliła wreszcie na panewce z takim wrzaskiem przeprowadzana reforma czy naprawa polskiej kultury. Gospodarka w T. K. K. T. wykazuje olbrzymi, kilkaset tysięcy złotych wynoszący deficyt, „Pion" nie zdobył czytelników, a co ważniejsze prenumeratorów, a P. A. L. ośmieszyła się gruntownie przy rozdawaniu wawrzynów.

Nie bez zajęcia zatem bierzemy dziś do ręki cenną broszurę prof. Stef. Glixellego, b. dziekana wydz. humanistycznego U. S. B. w Wilnie, która zajmuje się spustoszeniami, dokonanemi przez p. Jędrzejewicza w dziedzinie szkolnictwa wyższego.

Ukazała się ona w roku ubiegłym, kiedy gwiazda braci Jędrzejewiczów świeciła jeszcze pełnym blaskiem, i nosi wymowny tytuł: „W drugą rocznicę zwinięcia 52 katedr w szkołach akademickich" (Lwów, 1935, skład główny: Dom Książki Polskiej w W-wie, str. 16).

Prof. Glixelli, ceniony romanista i znakomity pedagog, opuścił po reformie doskonale zorganizowany warsztat pracy w Wilnie i wykłada obecnie język polski na uniwersytecie w Bukareszcie.

W zwięzłej broszurze wykazuje prof. Glixelli z werwą polemiczną, ani razu nie dając się porwać goryczy i niechęci osobistej, całą nicość argumentów b. ministra Jędrzejewicza, jakiemi chciał uzasadnić swe dzieło.

Ze zrozumiałą pasją zwłaszcza odpiera „wygnany" profesor zarzut p. Jędrzejewicza, który ogólnikowo i gołosłownie stwierdził, że przy zwijaniu katedr obok względów oszczędnościowych decydowały również momenty naukowe i moralne.

„Należy się zapytać"—pisze autor broszury—„czy te powody, przytoczone przez b. ministra, dadzą się podciągnąć pod pojęcie reorganizacji, o której mowa w ustawie. Można przyznać, że powody oszczędnościowe i wzgląd, że pewne działy były nadmiernie rozbudowane, podpadają formalnie pod pojęcie reorganizacji. Niema jednak żadnego związku między poziomem naukowym lub moralnym profesora a zwijaniem katedry... O ile jakiś profesor nie spełnia należycie swych obowiązków naukowych, albo gdy są ku temu powody moralne, to należy — zgodnie z prawem — profesora pociągnąć do odpowiedzialności dyscyplinarnej i ewentualnie usunąć..."

Ponieważ postępowania dyscyplinarnego nie było, przeto zarzut b. ministra zawisł w próżni, rzucając cień na wszystkich zwolnionych profesorów.

Krzywda to tem większa, że zarzut został postawiony ogólnikowo i że wskutek tego żaden właściwie profesor nie mógł się skutecznie bronić.

Nowa ustawa o szkołach akademickich zezwala na tworzenie i zwijanie katedr ze względów reorganizacyjnych. Wszelkie zaś powody natury personalnej (poziom naukowy i moralny, poglądy polityczne profesorów)—pisze prof. Glixelli—nie mają nic wspólnego z reorganizacją wydziałów.

Równie przekonywająco rozprawił się autor broszury z argumentami b. ministra, które uzasadniać miały zwinięcie niektórych katedr z powodów reorganizacyjnych, formalnie zgodnych z ustawą, poczem podał suchy, a jakże przejmujący, wykaz zniszczonych katedr.

Swoje prawniczo ścisłe, żelazną konsekwencją odznaczające się wywody kończy prof. Glixelli stanowczym wnioskiem: „ustawa, pozwalająca reorganizować, powinna być podstawą reorganizacji, ale niczego więcej".

Ciekawi jesteśmy, czy obecny minister oświaty naprawi istotne szkody, wyrządzone szkołom wyższym przez poprzedników?

Tak czy inaczej broszura znanego romanisty stanowi cenną pozycję w bibljografji prac, poświęconych reformie szkół akademickich w Polsce

i przypomina głośną przed dwoma laty sprawę, o której—naszym zwyczajem—zaczynało być cicho, a którą należy głośno stawiać w imię należytego rozwoju nauki polskiej.

W tem odważnem przypomnieniu zapoznawanej niesłusznie sprawy tkwi główna zasługa rozprawy prof. Glixellego.

TAD. B.

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zakład Narodowy im. Ossolińskich przystąpił do taniego wydania Trylogji Sienkiewicza w formacie kieszonkowym, zaopatrzonego w objaśnienia rzeczowe i językowe, a nadto z dodaniem do każdej części Trylogji mapki historycznej terenu, na którym odbywa się akcja powieści. Okładka tomików jest sztywna, jak w większości książek szkolnych. Na okładce każdego tomiku umieszczony portret Sienkiewicza.

Wydanie istotnie jest tanie. Według prospektu wydawców, każdy kto wpłaci czekiem P. K. O. Ossolineum nr. 505.735 — 15 złotych przed 5 marca 1936 r., otrzymywać będzie co tydzień, pod podanym przez siebie adresem, jeden tomik Trylogji, przytem 4 mapki historyczne otrzyma bezpłatnie. (Komplet 26 tomików i 4 mapki). Cena tomiku w handlu 70 gr.

*

J. Falkowski — B. Pasznycki. „Na Pograniczu Łemkowsko-Bojkowskiem“ z 1 mapą, 2 ryc. i 9 tabl. Lwów 1935. Nakładem Tow. Ludoznawczego. Z cyklu prac etnograficznych pod redakcją dr. Adama Fiszera, prof. Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Zespół dwu uczonych po kilkuletniej pracy przedstawił stan kultury ludowej na pograniczu łemko-bojkowskiem. Dr. Falkowski zbierał materjały do kultury materjalnej, a dr. Pasznycki zajmował się kulturą duchową i społeczną. Nauka nasza ma w tej dziedzinie cenną tradycję w pracach Kolberga, Karłowicza, Udzieli i Fassendorfera, a wyżej wymienione studjum jest rezultatem doskonałej metody w układzie szczegółów. W pierwszej części książki autorzy przedstawili cechy obszaru etnograficznego, granice, krajobraz, djalekt, strój i budownictwo ludowe. W dalszych kulturę materjalną, społeczną i duchową.

„Ludność żyje w nędzy“, zadłużenie miało swoją przyczynę najczęściej w nad stan obchodzonych weselach, chrzcinach itd. A wiadomo nam np. ze smutnych przykładów na Huculszczyźnie, jak przedewszystkiem wioskowi karczmarze potrafią zniszczyć wieśniaka. To też nierzadko spotyka się takie anomalje, że gospodarz mieszkał przedtem we własnej a potem dzierżawionej chacie. Ten brak odporności przeciw wyzyskowi, jak z drugiej strony brak kontaktu z szerszym światem, spowodowały zasklepienie się tego ludu w pierwotnych formach bytu.

Stan ten poddaje badaczom folkloru rozległe pole pracy. Autorzy wywiązali się z podjętego zadania wielce sumiennie i w sposób interesujący. Tekst i ilustracje studjum ukazują chaty, sprzęty gospodarcze, hodowlę zwierząt, uprawę roli, łowiectwo (niestety, przeważnie kłusownicze), rybołówstwo (rabunkowe), przygotowywanie pokarmów, lecznictwo, przemysł artystyczny, odzież i ciemną kulturę społeczną tego ludu biednego. Wreszcie pieśni okolicznościowe i słowniczek charakterystycznych wyrazów gwary (A. W.)

*

Arkady Fiedler: Zwierzęta z lasu dziewiczego, I Bichos Moi Brazylijscy Przyjaciele, II Z Puszczy Amazońskiej. Z przedmową dr. Edwarda Lubicz Niezabitowskiego, profesora Uniwersytetu Poznańskiego. Warszawa 1936, wyd. Rój. str. 229.

Pan Fiedler, przyrodnik, zaopatrzywszy się własnym kosztem w broń i we wszelkie, liczne, potrzebne dla preparowania okazów przyrodniczych instrumenty i chemikalja, wybrał się w podróż do puszcz południowo-amerykańskich. Po powrocie obdarzył poznański Ogród Zoologiczny rzadkiemi okazami dzikich zwierząt, zaś Oddział Przyrodniczy Muzeum Wielkopolskiego nie mniej ciekawemi preparatami zwierząt ssących, tysiąca ptaków, gadów i tysięcy motyli. Wrażenia z podróży ogłosił w świetnej i szeroko dziś poczytnej książce „Ryby śpiewają w Ukajali“, a obecnie w następnej, wyżej wymienionej książce, „Zwierzęta z lasu dziewiczego“. Pisze w niej o kilkunastu zwierzakach oswojonych, „przyjaciołach“. Pisze lekko, dowcipnie, i z tak serdecznem wczuciem się w naturę tych zwierząt, że książka jego przypomina najlepsze w literaturze naszej utwory z tej dziedziny: Wodzickiego, Pietruskiego z Siemiuszowej, Ossendowskiego. Barwnemi opisami nastrojów przedstawia puszczę brazylijską i jej poezję a zdradliwość, jak też psychologję tubylców, Indjan i pokrewnych im szczepów. P. A. Wiśniewski z Poznania, młody leśnik, obznajomiony z techniką preparowania i konserwowania okazów przyrodniczych, towarzyszył autorowi w podróży i pomagał w pracy. W drodze, pełnej przygód, w okresach chorób wywołanych odmiennością klimatu, wraca p. Fiedler tęskną myślą do Polski i pozostałej w Poznaniu rodziny.

Interesujące, jak wrażenia i groteskowe ilustracje, są szczególnie wiadomości o osiedlonych w puszczach kolonistach polskich, którzy nie zatracili duchowego związku z ojczyzną (A. W.)

TEATR

RAZ SIĘ ŻYJE!

Wysłuchałem nowej sztuki pana Stefana Kiedrzyńskiego p. t. „Raz się żyje“, wystawionej w Teatrze Letnim, od początku do końca z maksymalnem natężeniem uwagi, na jakie mnie było stać. Pomimo to nie potrafiłbym powiedzieć, czy utwór ten wyszydza brutalne przejawy życia, czy też je gloryfikuje. Czy tytułową jego dewizę według intencyj autorskiej należy czytać tonem entuzjastycznym, czy też gorzko ironicznym.

Na początku odsłony pierwszej autor zdaje się najwyraźniej szydzić z młodego, początkującego architekta, który pomimo ukończenia studjów na politechnice, nie umie pisać ortograficznie. Marzenie pisze przez ż, a Józef przez u. Najwyraźniej pan Kiedrzyński bierze za złe temu młodzieńcowi, że rozkochał w sobie żonę swego pryncypała i dobrodzieja. Autor zdaje się również szydzić z owej żony, byłej kasjerki kinematograficznej, która wyszedłszy za mąż za zacnego, wartościowego inżyniera, nie waha się go porzucić dla młodego cymbała, będącego również nieokrzesanym, brutalnym chamem. Ów cymbał, ambitny syn stróżowski, potrzebuje gwałtownie pięćdziesięciu tysięcy złotych na założenie biura budowlanego. Rozkochana w nim gąskowata damulka uważa za rzecz najzupełniej naturalną, aby tej sumy dostarczył mu jej mąż, który kocha ją tak dalece, że dla jej szczęścia deklaruje gotowość natychmiastowego rozwiedzenia się z nią, wypłacenia jej sowitych alimentów, wreszcie wzięcia na siebie całej winy przed trybunałem konsystorskim. Adwokat prowadzący sprawę rozwodową proponuje mu do wyboru odegranie roli katującego swą żonę tyrana domowego, albo impotenta. Małżonek z podziwu godnem zaparciem się siebie wybiera to drugie. Żywi on jednak nadzieję, że potrafi żonę przy sobie zatrzymać, przekonawszy ją, iż młody jego pomocnik, w którym sie zakochała, jest nikczemnego gatunku karjerowiczem i nicponiem z pod najciemniejszej gwiazdy. Że nicponiowi temu zależy wcale nie na jej uczuciach, lecz poprostu na jej alimentach. Pomysłowy małżonek zaprasza tedy do swego domu pewną zachwycającą wdowę, katowicką miljonerkę, z którą łączy go dawna, zażyła przyjaźń i prosi ją, aby mu pomogła skompromitować uwodziciela, czyli narzeczonego swojej żony, rozkochując go w sobie. Miljonerka skwapliwie się na ten farsowy pomysł godzi i rozpoczyna z młodzieńcem odrazu gruby flirt.

Mamy prawo przypuszczać w tej sytuacji, że dalszy ciąg sztuki okaże się krotochwilą. Tymczasem w akcie drugim przekonywamy się ze zdumieniem, iż to bynajmniej nie farsa, ale dramat. Autor zaczyna traktować młodego cymbała coraz poważniej. Odbiera tej figurce cechy zabawności i wyposaża ją, niestety poniewczasie, we wrażliwość etyczną, w duszę. Młody człowiek waha się, czy mu się godzi przyjąć miłosną ofertę miljonerki i unieszczęśliwić „narzeczoną“. Owa „narzeczona“, która w pierwszym akcie

była najzupełniej bezdusznem gąsiątkiem, również dziwnie nagle dla autora wysympatyczniała. I ona i młody cymbał stają się od czasu do czasu *porte parole*'ami pana Kiedrzyńskiego. Wygłaszają pod adresem galerji rozmaite demagogiczne sądy, które pan Kiedrzyński zdaje się podzielać. W miarę im bardziej cymbał ulega urokowi miljonerki, tem bardziej gęś oczywiście cierpi. Pan Kiedrzyński każe się nam wzruszać jej cierpieniem. Zapomnielibyśmy, że w pierwszym akcie sztuka była farsą, gdyby nie to, że po scenie pęta się ciągle błaznująca płasko postać adwokata.

Ostatecznie w akcie trzecim cymbał zdecydował się podeptać serce gęsi. Przedtem nie omieszkał srodze naurągać „burżuazji" i „starszemu pokoleniu", które jak wiadomo — zrobiło kryzys i na które — jak wiadomo — spada odpowiedzialność za fakt, iż młodzi ludzie z uniwersyteckiem wykształceniem żyją ze sprzedaży programów wyścigowych.

Cymbał sprzedał się miljonerce, ponieważ gęś postanowiła wyrzec się mężowskich alimentów. Skąd się nagle wzięły w ptasiej jej duszyczce te szlachetne skrupuły — to pozostało niewyjaśnioną przez autora zagadką.

W rezultacie farsowy pomysł męża (sprowadzenie miljonerki) uwieńczony został powodzeniem. Gęś rozczarowała się do cymbała i zrezygnowała z rozwodu.

Mieszanina farsy, komedji, dramatu groziła przeistoczeniem się w krwawą tragedję.

Gęś przebąkiwała o samobójstwie, a mąż brał aluzje te na serjo. W pewnej (najniestosowniejszej) chwili p. Mila Kamińska, grająca miljonerkę, zasiadła do fortepianu. Ogarnęło mnie przerażenie, że zaśpiewa i że sztuka przedzierzgnie się w operę. Na szczęście autor zadowolił się efektem kinematograficznym: pocałunkiem. Byłem mu za to osobiście bardzo wdzięczny.

W sztuce tej, jak w każdym utworze pana Kiedrzyńskiego, jest kilka scen znakomicie (z punktu widzenia teatralnego) napisanych.

Jest w niej również kilka dobrych dowcipów, na które publiczność reaguje huraganowemi oklaskami.

Ale w sumie widowisko jest raczej nudne, niż zajmujące. Przynajmniej połowę drugiego aktu, który trwa przeszło godzinę, możnaby bez najmniejszej szkody dla utworu skreślić. Przedstawienie wlokło się do pół do dwunastej. Wychodziliśmy z teatru zmęczeni.

Oprócz wymienionej już p. Mili Kamińskiej w przedstawieniu biorą udział: pp. Świerczewska (żona), Samborski (mąż), Wesołowski (amant) i Fertner (błaznujący adwokat).

S. J. G.

FILM

MAJESTIC: „Potwór" film francuski, reż. Juljan Duvivier. Niewiadomo dlaczego nie wyświetla się u nas niemal zupełnie filmów francuskich. A przecież — jeśli i film może posiadać piętno odrębności narodowej — byłoby bardziej wskazane przedstawianie nam twórczości fancuskiej na tem polu, przed jakąkolwiek inną. Zestawienie francuskiego pojmowania filmu z metodami innemi, w tym wypadku amerykańskiemi, nasuwa się samo przez się, gdyż wyświetlany teraz przez „Majestic", ukazał się na ekranie bezpośrednio po utworze amerykańskim, podobnego typu. Jest to również, jak i „Całe miasto o tem mówi", film z kategorji sensacyjnych, posiadający, poza efektowną stroną zewnętrzną, podskórny, głębszy nurt sensacyjności. Punktem wyjścia dla rozwoju zdarzeń jest morderstwo, popełnione na osobie bogatej amerykanki, ale ponieważ wiadomo kto zabił, więc ten motyw sensacyjności dla widza odrazu odpada. Tematem staje się sposób rozwikływania zagadki przez policję (ponieważ jesteśmy wtajemniczeni, wygląda to tak, jakbyśmy sami dawali policji rebus do rozwiązania i bawi nas właśnie owo odgadywanie).

Pod względem filmowym rzecz jest wygrana wieloma zbliżeniami, na ekranie raz po raz zjawiają się twarze w powiększeniu, można to nazwać grą masek, które czyhają na siebie, wypełniają one sobą cały ekran. W tym stanie rzeczy brawura i tempo filmu amerykańskiego ustępują miejsca chwytom o charakterze kameralnym, półgestom, nieznacznym odruchom mimiki. Nie są to popisy gry aktorskiej jedynie, reżyser temi sposobami potrafi prowadzić tok akcji. I jednocześnie, przy tempie przeważnie zwolnionem, nasze zainteresowanie utrzymane jest w ciągłem napięciu — dowodzi to wielkiej umiejętności reżyserskiej.

W podobnych zbliżeniach można się doszukać wpływu filmji sowieckiej z tą różnicą, że Rosjanie pokazują właściwie twarz ludzką, w powiększeniu na cały ekran, jako swego rodzaju ciekawą — naturę. Pierwsza część filmu (śledztwo) jest — mojem zdaniem — ciekawsza od mniej przekonywającej, drugiej, która nas zapoznaje z dramatem osobistym zbrodniarza. Mocno i pod względem wizualnym ciekawie wypadło zakończenie. Obsada aktorska b. dobra.

Tym utworem reżyserji jednego z wybitniejszych francuskich filmowców kino „Majestic" jaszcze raz potwierdziło swą staranność w doborze repertuaru.

*

APOLLO: „Burłak z nad Wołgi", film francuski, reż. Stryżewski.

W znanej wszystkim anegdotce powiada jeden Antek do drugiego: „We Francji to taki ci naród kształcony, że nawet chłopi po francusku rozmawiają. W tym filmie mamy obraz jeszcze większego wykształcenia, bo tu po francusku mówią... chłopi rosyjscy. Żart na stronę; nam, żyjącym z Rosją o miedzę, nam, którzy ją znamy niezgorzej, dziwaczną się wydaje postać brodatego Wielkorusa, zwracającego się do baby ze słowami: „*Mawra depêche toi!*" I Wołga nazywa się tu *La Wolgă*...

Ale właściwie jest to kwestja przyzwyczajenia, przecież w tłumaczeniu polskiem powieści francuskiej chłopi z Francji mówią po polsku i to nas wcale nie razi (bo na papierze już do tego przywykliśmy). Ważniejszą jest kwestja zachowania kolorytu lokalnego, tak pod względem plastycznym, jak i dźwiękowym. I dlatego tu pieśń burłaków słyszymy w brzmieniu oryginalnem. Jeśli natomiast rosyjskie „hulaj dusza bez kontusza" (pijatyka i „kamarinskij") gorzej wygląda w relacji fraucuskiej, a lepiej w oryginalnej, sowieckiej, to już nie wina autorów filmu, oczywiście, którzy naogół wykazali duże zrozumienie kolorytu rosyjskiego, jak na Francuzów — nawet wprost nieoczekiwane.

Film ten posiada b. poważne zalety: jest pod względem wizualnym, zwłaszcza w pierwszej części, niemal samowystarczalny (t. zn. zrozumiały bez djalogów), co w epoce filmu dźwiękowego nie stanowi bynajmniej zbyt częstego zjawiska. Drugą zaletą są niejednokrotnie bezsporne wartości artystyczne (filmowe) tej strony wizualnej (film zaczyna się plenerami).

Natomiast co do treści mamy poważne zastrzeżenia. Wynalazek dźwiękowości w pewnym względzie cofnął lub powstrzymał rozwój artystyczny filmu, ale właśnie teraz, w jego obecnym okresie, widzieliśmy nieraz takie filmy, które w zakresie treści mogły odpowiadać najwybredniejszym wymaganiom. To też nie wzruszają nas zbytnio dramatyczne przeżycia młodego oficera i jego damy, ani ta miłość od pierwszego spojrzenia, którą już oglądaliśmy na ekranie w ujęciu daleko głębszem i bardziej uczłowieczonem.

*

ATLANTIC: „Ostatnie dni Pompei", film amerykański.

Djalogi „slangiem" amerykańskim, na tle obrazów Siemiradzkiego. Wszystko jest właściwie dość nudną przygrywką do efektownego zakończenia, które dzięki rozmachowi techniki amerykańskiej i jej bogatym możliwościom wypadło wspaniale. Tu właśnie, gdy umilkli ludzie, przemówił żywioł filmowy.

Trzeba zapisać realizatorom tego utworu na dobro, że widoczny z filmu tego sens moralny, unaocznili bez, zwykłego u amerykanów, grubijańskiego moralizatorstwa.

*

CASINO: „Zew krwi", reż. Wellman, film amerykański.

Ten film, według Londona, smakuje jak razowy chleb ludziom, którzy tęsknią za nim, znudzeni frykasami. Śnieg, sanki, poszczekiwania psów, wyprawy poszukiwaczy złota, ludzie prości, nieskomplikowani i oto znowu jesteśmy wśród rzeźwiącej atmosfery krajobrazów Północy, daleko od ciasnoty czterech, a właściwie trzech ścian *atelier*, jak za dawnych, szczęśliwych czasów dzieciństwa i filmu niemego.

Grają w tym filmie b. trafnie dobrani aktorzy: Clark Gable, Loretta Young i pies — Buck.

Rzecz b. odpowiednia dla młodzieży.

KANDYD

Nie skąp pieniędzy na pracę narodową!

POKŁOSIE

SZCZUDŁA

„DUSZĘ narodu wsadzono na szczudła ambicji. Sami uważamy się za mocarstwo i wymagamy od innych, aby nas za mocarstwo uważano. Tymczasem rzeczywistość przeczy marzeniom". Zdania te, wyjęte z artykułu wybitnego publicysty (F. Młynarski w „Kurjerze Warszawskim") zaczynają brzmieć coraz u nas częściej, o ile chodzi o ocenę ekonomicznej, materjalnej strony naszego życia. Po trwających przez wiele lat przesadach ujawnia się wreszcie reakcja, oby zbawienna.

Ale te szczudła znalazły u nas powszechniejsze zastosowanie, nie ograniczyły się tylko do ekonomji, czy potęgi politycznej państwa. Z pewnym niepokojem, muszę to przyznać, przysłuchuję się wynurzeniom młodych chłopców, właściwie jeszcze dzieci, ze szkoły powszechnej, pozostających obecnie przeważnie pod kierunkiem nauczycielek. (Nawiasem powiedziawszy, mam wielkie wątpliwości co do skutków, jakie wynikną z tego, że dziś chłopiec do 13 lat życia nie spotyka się nigdy z nauczycielem, a ma wyłącznie do czynienia z nauczycielką. Przed paru dniami czytałem w dziennikach angielskich, że rada pedagogiczna jednego z hrabstw Szkocji, zastanawiając się nad projektem przedłużenia obowiązkowej nauki szkolnej o jeden rok, zwróciła przedewszystkiem uwagę na istniejącą przewagę liczebną żeńskiego personelu nauczcielskiego i zaopinjowała konieczność zmiany, tak żeby starsi chłopcy spotkali się wreszcie z dyscypliną męską. Jest to oczywiście bardzo ważne i nie jest dobre, gdy chłopiec zbyt długo będzie traktowany jako Jędruś, a zbyt późno zaczną się doń zwracać, jako do np. Wiśniewskiego). Wracajmy jednak do rzeczy. Otóż można dziś zauważyć, że dzieci szkolne przeświadczone są o znakomitej wyższości wszystkiego co polskie nad wszystkiem obcem. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że szlachetna ambicja jest potężym motorem, wiem dobrze z własnego, nieraz bolesnego doświadczenia, że my, starsze pokolenie, wzrastaliśmy pod naciskiem wpływów wprost przeciwnych, musieliśmy ciężko walczyć o wyrobienie w sobie wewnętrznego poczucia, że nie jesteśmy gorsi od innych i wiem, że to dużo nas kosztowało, a nieraz poczucie upośledzenia prześladowało nas i przeszkadzało nam w życiu. Jednak czy dzisiejszy system jest rzeczywiście zdrowy, czy nie są to te właśnie szczudła, z których chłopiec będzie musiał taksamo zejść, jak schodzimy z tych, o których była mowa na początku? Czy nie lepiej byłoby wdrażać myśl o konieczności pracy nad rozwijaniem naszych rzeczywiście nieprzeciętnych zdolności? Bo tak, to przecież przykre zawody są nieuniknione, a za niemi może przyjść wcale niepożądany i nieuzasadniony sceptycyzm.

Chłopcy od najmniejszych entuzjazmują się dziś do sportu, bohaterami ich są Marusarz, czy „Bronek" Czech, wierzą w ich sprawność niepokonaną, a tu przychodzą wiadomości o porażkach i kiepskich miejscach w klasyfikacji. Miny stają się smutne i zachodzi poważna obawa zniechęcenia.

Starsi też mają przy tej sposobności temat do zastanowienia się nad tem, czemu nas u licha tak biją. Bo zostawiają na boku rozmaitych Skandynawczyków, którzy rodzą się z nartami i łyżwami na nogach, nie bardzo dobrze rozumiemy naszą niższość wobec np. Czechów, czy Austrjaków. Co w tem jest? Może to, co zauważył ów oficer francuski, gdy mówił, że z szeregowców Polaków wybierze więcej kandydatów na podoficerów, niż z takiej samej liczby Francuzów, ale z pomiędzy podoficerów Polaków już mniej, niż z pośród Francuzów nadaje się na oficerów: zbyt szybko uznają, iż wszystko już posiedli i nie zgłębiają swej wiedzy i umiejętności. A czyja w tem wina? Chyba tylko wychowania i szkoły.

Żeby to było tak tylko w sporcie, ale właściwie to na wszystkich polach widzimy to samo. Niedawno czytaliśmy nekrologi znakomitego publicysty i historyka francuskiego, J. Bainville'a. Ile ten chorowity człowiek pisał: dwa codzienne artykuły, parę przeglądów tygodniowych, długi szereg dzieł naukowych, a wszystko świeże, jędrne, bez śladu wody, przeciwnie, zdumiewające na każdym kroku nowością i bystrością spojrzenia. A czyż on tylko jeden potrafił i mógł tam tak pracować? Oto obok niego na łamach tego samego pisma Ch. Maurras: codzienne długie artykuły, tak bogate w treść zasadniczą, że z nich potem układają istne encyklopedje polityczno-socjologiczne, a oprócz tego dzieła naukowe, literackie, odczyty, konferencje, praca organizacyjna. Obok nich grzmiący Leon Daudet, rzucający codziennie swe pioruny w korrupcję rządów, a poza tem snujący długi szereg powieści, studjów, *essay*'ów i t. d. z szybkością nieraz paru tomów na rok...

Co za tajemnica tkwi w tej zdumiewającej zdolności do pracy, wykazywanej przez Francuzów tak często, a przez nas tak bardzo rzadko? Czyżby to pochodziło stąd, że jedzą sałatę? Chyba prędzej dobra szkoła, napawająca od dzieciństwa żądzą doskonalenia intelektu i jego stosowania.

Nie wiem, czy kobiece kierownictwo jest w stanie podobną żądzę wzbudzić, a wiem już napewno, że nie wzbudzi jej wsadzanie na szczudła, z których następuje niebawem upadek. Takie szczudła przyczynić się chyba mogą tylko do pomnożenia i tak już licznej u nas kategorji „niezwykłych ludzi do niczego", o których mówi dowcipny aforyzm Maryli Wolskiej, drukowany w poprzednim numerze „Myśli Narodowej".

ARGUS

NA MARGINESIE

Ponieważ klubów w Sejmie niema, a niema też czasu na wysłuchanie wszystkich posłów po kolei, marszałek Car nosił się podobno z zamiarem zarządzenia, aby 200 posłów podzielić na 8 grup według alfabetu po 25 osób z tem, że głosu udzielałoby się grupie. Mówiłoby jednocześnie 25 posłów każdy swoje. W ten sposób najdonioślejszą debatę możnaby załatwić (licząc 10 minut na grupy) w 80 minut. Osiągnęłoby się zaś ideał radosnej twórczości parlamentarnej, połączyłaby ona bowiem pierwiastek indywidualny z chóralnością, co doskonale wpłynęłoby na harmonję polityczną obrad przez zagubienie różnic w poglądach.

*

Książę Janusz Radziwiłł, b. przewodniczący Zjazdu katolickiego, wymyślił znakomity sposób na uniknięcie zatargów między Kościołem Katolickim i „sanacją". Uważa, że... należy dać „sanacji" prawo usuwania biskupów, którzy jej są z tych czy innych względów politycznych niemili.

Ze też nikt przedtem nie wpadł na ten pomysł, tak przecież prosty prawowierny i skuteczny!..

*

Dyrekcja Polskiego Radja „prostuje" w „War. Dzienniku Narodowym", że ma w swojej orkiestrze tylko 10 żydów, a kapelmistrze p. Fitelberg, Górzyński i Szpak już zapomnieli, że byli żydami.

Krótką mają pamięć. Należy jednak życzyć Polakom, aby mieli dłuższą i pamiętali że są Polakami.

*

Tego p. Fitelberg nie zapomniał, że był przedtem w Filharmonji. Obecnie Radjo tak ukarało Filharmonję za brak przywiązania do p. Fitelberga, że zerwawszy z nią układ, zachwiało bytem tej instytucji. Zetatyzowane Radjo niszczy dokoła pracę kulturalną, a tyle się gadało o popieraniu kultury! Straszna gospodarka i wybitnie żydowska!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.